

*KATE WALKER*

*Źle urodzony*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nareszcie wiem, jak on wygląda!

Sonia trzymała w wyciągniętych dłoniach ilustrowany magazyn i z podziwem wpatrywała się w całostronicowe zdjęcie Ryana Cassidy.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że najmodniejszy obecnie artysta jest taki... - szukała właściwego określenia - taki zawadiacki! Spójrz na niego, Anno - powiedziała do przyjaciółki, siedzącej obok na ogromnej, czarnej kanapie i podsunęła jej zdjęcie pod nos. - Czy nie przypomina dzikiego, irlandzkiego włóczęgi?

Anna wcale nie miała ochoty tego oglądać. Doskonale wiedziała, czego może się spodziewać, a poza tym nie chciała wracać do nieprzyjemnych wspomnień. Sonia była jednak nieustępliwa. Anna z niechęcią sięgnęła po magazyn i położyła go na kolanach. Pochyliła głowę udając, że uważnie ogląda fotografię. Długie, złotorude włosy zsunęły się jej na twarz. Dzięki temu zdołała ukryć przed przyjaciółką wstrząs, jakiego doznała na widok mężczyzny na zdjęciu. Przez dłuższą chwilę nie mogła się skupić, by obejrzeć je dokładnie. Pragnęła bez słowa oddać pismo, ale Sonia oczekiwała od niej konkretnej opinii.

Z dużym wysiłkiem zmusiła się do obejrzenia zdjęcia. Jej wzrok natychmiast napotkał aroganckie i pogardliwe spojrzenie Ryana Cassidy'ego. Po latach stał się dla niej kimś prawie nieuchwytnym. Silniej przemawiał do Anny dobrze jej znany obraz smagłego i zadziornego młodzieńca o wydatnych kościach policzkowych i szerokich wyrazistych ustach, którego bujna czupryna zakrywała wysokie czoło.

- W niczym nie przypomina malarza Davida Hockneya - głos Soni wdarł się w jej chaotyczne myśli.

- Jest portrecistą - Anna z naciskiem wymówiła ostatnie słowo. W tym momencie zdała sobie sprawę, że ton jej głosu jest zbyt ostry, by ukryć

przed przyjaciółką wzburzenie. Ale gdy podniosła na Sonię pełne niepokoju zielone oczy, ta tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- A jaka to różnica? Zawsze myślałam, że artyści bujają w obłokach lub są dziwakami. Zresztą, znasz mnie i wiesz, że zupełnie nie orientuję się w świecie artystycznym. Ale mężczyznę rozpoznaję natychmiast, zaś Ryan Cassidy jest typem zdecydowanie męskim, przez duże M. Ciekawa jestem, czy udziela lekcji malarstwa?

Anna roześmiała się.

- Mężczyzna, którego okrzyknięto największym portrecistą ostatniego dziesięciolecia i u którego zamówiono portrety księcia i księżnej Walii, nie musi mieć uczniów, by powiększać swoje dochody.

W tym momencie cierpkość jej głosu odciągnęła uwagę Soni od zadumy nad walorami Ryana Cassidy'ego i szczerze zaciekawiona spojrzała na Annę.

- Masz chyba o nim bardzo niepochlebne zdanie - powiedziała trochę poirytowana. - Kiedy nadepnął ci na odcisk?

- Nie nadepnął! - wykrzyknęła Anna, a gwałtowność odpowiedzi uświadomiła jej, że bariera wzniesiona przez nią pomiędzy obecnym życiem i przeszłością została niebezpiecznie podkopana. - Ja... myślałam o opinii krążącej na jego temat - zaczęła wyjaśniać, starając się uniknąć drażliwego tematu. - Jestem zaskoczona, że w ogóle udzielił tego wywiadu. W końcu, określenie trudny jest najpowszechniej używane w stosunku do Ryana Cassidy'ego. A poza tym uważa się go za artystę bardzo kapryśnego, który sam wybiera sobie modele...

Wskazała dłonią rzucający się w oczy tytuł artykułu towarzyszącego zdjęciu malarza i odczytała go na głos:

- „Człowiek, którego nie można kupić”. I nie zapominaj, jak otrzymał ten wyjątkowy przydomek.

- Oczywiście, chodzi ci o to, jak potraktował Drew Curtissa, gdy ten chciał zamówić portret swojej czwartej już chyba żony, młodszej od niego o bez mała trzydzieści lat? - Sonia z rozbawieniem uśmiechnęła się na wspomnienie odpowiedzi, jakiej artysta udzielił milionerowi. - Cassidy kategorycznie odmówił i konsekwentnie odmawiał dalej, gdy Drew kusił go coraz bardziej zawrotnymi sumami. Nie wiem, ile w końcu chciał zapłacić, ale słyszałam, że chodziło o setki tysięcy funtów.

- A poza tym oświadczył, że ma ciekawsze rzeczy do zrobienia - wtrąciła z przekąsem Anna.

- I czy Drew nie wpadł we wściekłość, gdy okazało się, że te ciekawsze rzeczy to wizerunki życiowych rozbitków na ulicach Manchesteru, za co, rzecz jasna, nie dostał ani grosza? Tak, on z pewnością nie jest niczyją marionetką - powiedziała Sonia tonem pełnym uznania. - Nie myślisz chyba, że odmówił następcy tronu i jego żonie? - dodała po chwili namysłu.

- Nie wiem - odrzekła Anna trochę uszczypliwie.

- Ale po nim można się spodziewać wszystkiego.

- Czy jednak nie byłaby to zdrada stanu lub coś w tym rodzaju? Odmówiłabyś wykonania zlecenia rodziny królewskiej?

- Chyba żartujesz - burknęła Anna.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na zdjęcie i pomyślała, że ten Ryan Cassidy, którego kiedyś znała, byłby zdolny nie wykonać rozkazu samego Pana Boga. Liczył się tylko z własnym zdaniem, choć może także ze zdaniem starszego brata. Na wspomnienie Larry'ego w oczach Anny zagościł głęboki smutek. Wciąż nie mogła się z tym pogodzić, że nie żył już prawie od ośmiu lat. Gdy zginął, miał dwadzieścia siedem, tyle, ile ona teraz, co znaczyło, że Ryan musi mieć trzydzieści lub trzydzieści jeden.

Dyskretnie szukała na zdjęciu śladów podobieństwa między braćmi, ale nic nie dostrzegła. Może z wyjątkiem szerokich ust, choć nawet i one

były inne. Larry zawsze się uśmiechał, a Ryan wyglądał tak, jakby nie robił tego nigdy. Ale ciemne włosy i wyraziste rysy twarzy zostały znakomicie wydobyte na czarno-białym zdjęciu. Jednej tylko rzeczy fotograf nie mógł pokazać, to jest wyjątkowej barwy jego oczu. Barwy tych zdumiewających chabrowych oczu, ozdobionych długimi rzęsami. Ich błękit był tak intensywny, że wręcz szokował na tle kruczoczarnych włosów i surowych rysów twarzy.

Ilekcioć myślała o Cassidym, już po jego przyjeździe do Londynu, gdy dowiedziała się z prasy, że porzucił swoją samotność na północy Anglii, zawsze wspominała właśnie jego oczy. Już prawie o nim zapomniiała zbyt zajęta własnym życiem. Wspomnienia o Ryanie Cassidym, o tym, jaką rolę odegrał w jej życiu, ukryła w swojej prywatnej puszcze Pandory i sądziła, że nigdy jej nie otworzy. Ale wraz z jego przyjazdem do Londynu wieczko puszeki gwałtownie odskoczyło.

- Z tego, co tu o nim piszą wynika, że Cassidy jest naprawdę interesującą osobowością - wymamrotała pod nosem Sonia, nie odrywając oczu od tekstu.

- Swoją wyjątkową pozycję w sztuce zawdzięcza nie studiom artystycznym, ale żelaznej konsekwencji. Anno, posłuchaj, on pochodzi, tak jak ty, z północnej Anglii.

Sonia, jak zwykle, z przesadą wymówiła ostatnie zdanie, zgodnie z jej wyobrażeniem Akcentu w hrabstwie Yorkshire.

-Wychował się w Forgeley, w dzielnicy Churtown - dodała i z zaciekawieniem spojrzała na Annę. - Co to za dzielnica?

- Zamieszkała przez prostaków - odparła przyjaciółka z wyższością, ale, widząc jak Sonia unosi brwi ze zdziwienia, wpadła na moment w panikę. Prawdopodobnie posunęła się w swym lekceważącym tonie za daleko.

- Czyli sam, własnymi siłami osiągnął swoją pozycję - powiedziała z uznaniem Sonia. - Prawdziwy nieoszlifowany diament. Czy kiedykolwiek zetknęłaś się z nim, gdy...

W tym momencie Anna uznała, że najlepiej przerwać ten temat możliwie szybko i dyplomatycznie.

- Yorkshire to olbrzymie hrabstwo, a Forgeley to duże miasto - odparła wymijająco.

- Na pewno - zgodziła się Sonia, której wiedza geograficzna na temat Zjednoczonego Królestwa kończyła się na północ od Watford. - I, oczywiście, ty i Cassidy obracaliście się w różnych środowiskach. Ale może powinniśmy wybrać się z moim bratem do Yorkshire, gdzie są twoje korzenie.

Anna poczuła skurcz w dołku, a lęk odebrał jej pewność siebie. Już od ponad dwóch lat miała takie sensacje i odczuwała zagrożenie na samą wzmiankę o jej przeszłości. Od śmierci ojca, a nie miała żadnej innej rodziny, sądziła że stworzona przez nią historia jej życia nigdy nie zostanie poddana próbie. W przeszłości nachodziły ją czasami obawy, że prawda może się wydać, ale teraz przestraszyła się nie na żarty. Wiązało się to z wyjątkowym zainteresowaniem przyjaciółki osobą Ryana Cassidy'ego.

- Nie mam pojęcia, jak znajdę na to czas - odpowiedziała ostrożnie, by nie wzbudzać w Soni więcej podejrzeń. - Żyję teraz jak w gorączce, a poza tym doskonale wiesz, że twojego brata prawie nie można odciągnąć od pracy. Znam go już trzy lata i przez cały ten czas nie wziął nawet jednego dnia urlopu.

- Ale teraz, kiedy zostajecie współnikami, powinnaś wpłynąć na niego, by wziął sobie wolne.

- Przecież właśnie teraz rozkręcamy nasz biznes! - wykrzyknęła Anna.  
- Znasz Marca i wiesz, że zawsze stawia na pierwszym miejscu interesy - dodała uszczypliwie i uśmiechnęła się przy tym filuternie.

- Choć sądzę, że teraz interesuje go nie tylko nasza firma Sekrety Natury.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Marc. Na widok jego przystojnej twarzy Annie zabiło mocniej serce i rozjaśniły się oczy. Opanowała wzburzenie myśli i uznała, że Ryan Cassidy należy do przeszłości, a Marc jest najważniejszą osobą w jej obecnym życiu, choć może będzie równie ważny także w przyszłości. Z aluzji Soni wynikało, że zamierzał poszerzyć o bardziej osobisty związek ich współpracę w założonej przez Annę firmie, która specjalizowała się w produkcji kosmetyków z surowców naturalnych.

Pani Denton. W myślach rozkoszowała się brzmieniem tego nazwiska, które pewnego dnia być może będzie także i jej nazwiskiem. Czasem jednak ogarniały ją wątpliwości, czy taka nadzieja nie oznacza szaleństwa. Marzyła o takiej chwili, od kiedy postanowiła rozpocząć nowe życie i wyprowadziła się z domu przy Empire Street w Forgeley, a od miesięcy wiedziała, że Marc jest tym mężczyzną, z którym chciałaby żyć. Jednak jej determinacja, by całkowicie odciąć się od swojej przeszłości, sprawiła, że Anna nie powiedziała Marcowi prawdy o swoim życiu w Forgeley.

- Niemal straciliśmy nadzieję, że przyjdiesz i właśnie miałyśmy same pójść do restauracji - powiedziała Sonia.

- Coś mnie zatrzymało - odparł Marc i musnął ustami czoło Anny, po czym zagłębił się w fotelu. - Przepraszam - rzucił automatycznie, bez skruchy. Marc Denton był człowiekiem, którego życie obracało się wokół pracy, o czym wszyscy dobrze wiedzieli.

- Miałeś ciężki dzień? - zapytała Anna.

- Satysfakcjonujący - odpowiedział lakonicznie. - Ale nie dlatego się spóźniłem. Niespodziewanie spotkałem Gillie Ford, która uznała, że musi mi opowiedzieć o swojej najnowszej akcji dobroczynnej.

Sonia zareagowała ni to jękiem, ni śmiechem.

- Gillie i jej dobre uczynki! Co wymyśliła tym razem? Ratowanie warstwy ozonu wokół Ziemi czy bezpardonowy atak na kury domowe?

- Centrum sztuki dla dzieci z marginesu społecznego. Miejsce, gdzie będą zajmowały się czymś konstruktywnym: malarstwem, snycerstwem, tkactwem, haftem czy innymi gatunkami rzemiosła artystycznego, zamiast wystawać na rogach ulicy.

- Wspaniały pomysł! - wtrąciła nagle Anna.

Jej własne myśli sprawiły, że powiedziała to tonem bardziej entuzjastycznym, niż zamierzała, tak że Marc spojrział na nią trochę zaskoczony. Gdyby w Forgeley, w czasach jej dzieciństwa i młodości, istniało podobne centrum, to być może życie tam nie byłoby takie rozpaczliwe. Ojciec na pewno pozwoliłby jej chodzić do centrum, gdzie spotykałaby innych młodych ludzi, którymi ktoś by się zajmował i nie czułaby się tak przeraźliwie osamotniona.

- Myślę, że byłoby to bardzo pożyteczne - dodała po chwili konsternacji.

- Najprawdopodobniej masz rację, a przynajmniej powinno przynieść bardziej praktyczne efekty niż inne pomysły Gillie. Zdarza się przecież niekiedy, że jej projekty są trochę szalone. Tak czy owak, przygotowuje bal połączony, jak mówi, z kulturalną ekstrawagancją, by zdobyć fundusze na realizację swojego pomysłu.

- Z kulturalną ekstrawagancją? - powtórzyła osłupiała Sonia. - A cóż to takiego?

- Zaprasza wszystkich artystów, których zna, projektantów, malarzy, rzeźbiarzy, z myślą, że wniosą finansowy wkład w realizację projektu centrum. Przeznaczą oni swoje wybrane dzieła na wielką loterię fantową, jaką zamierza urządzić podczas balu.

Na dźwięk słowa „malarze” Anna poczuła skurcz w żołądku. Nie mogła dłużej słuchać wywodów Marca.



Malarze. Po rozmowie, którą prowadziły przed chwilą z Sonią, jej myśli opanował jeden konkretny malarz i była teraz przerażona. Zastanawiała się, czy Ryan Cassidy zostanie zaproszony do udziału w „kulturalnej ekstrawagancji Gillie, a jeśli tak, czy przyjdzie na bal.

- Oczywiście, powiedziałem, że przyjdziemy - ciągnął Marc, szczęśliwie nie zauważając, że Anna błądzi gdzieś myślami. - Niektóre z projektów Gillie można uważać za nieprzemysłane, ale wszystko, co robi, ma styl i gwarantuje, że każdy, kto coś znaczy, będzie u niej.

Anna spojrzała na Marca. Poczula, że strach paraliżuje jej serce, gdy w myślach zaczęła powtarzać jego ostatnie słowa. To dlatego nigdy nie powiedziała mu prawdy o swoim życiu w Forgeley. Najpierw nie potrafiła nawet myśleć o Empire Street, a później, kiedy poznała Marca lepiej, doszła do wniosku, że byłoby to dla niej niebezpieczne z powodu jego słabości do dobrego towarzystwa. Bo jedynie do tego brat Soni przykładał większą wagę niż do swojej pracy. Nigdy nie pozwoliłby sobie na coś, co mogłoby rzucić cień na budowaną przez niego z rozmysłem pozycję człowieka, który rzeczywiście coś znaczy. A gdyby kiedykolwiek odkrył, że jej pochodzenie nie jest tak dobre, jak mu powiedziała, najprawdopodobniej musiałaby rozstać się ze słodkimi marzeniami o tym, że zostanie jego żoną.

- Doskonale! - zawołała Sonia z zachwytem. - Szukałam jakiegoś pretekstu, by kupić sobie nowe ciuchy. Anno, musimy koniecznie wybrać się razem na zakupy i znaleźć dla siebie coś absolutnie wystrzałowego.

Anna dyplomatycznie wymamrotała coś pod nosem. Poznała już gust przyjaciółki. Sonia lubiła plisy i falbany, a ona wolała rzeczy prostsze, jak ten beżowy kostium, który miała na sobie. Jej szczupła, wysoka sylwetka lepiej prezentowała się w takich ubraniach. W duchu zazdrościła trochę przyjaciółce kobiecych kształtów, bo uważała, że jej figura jest zbyt chłopięca. A coś „absolutnie wystrzałowego” mogło pasować do czarnych włosów i oczu Soni, lecz nie do łagodnych kolorów włosów i oczu Anny czy do jasnej karnacji jej skóry.

Znów przypomniała sobie Larry'ego. W czasach, kiedy mieszkała w Forgeley, brano ich niekiedy za rodzeństwo, zupełnie nie kojarząc Ryana ze starszym bratem. Larry miał bujne rude włosy i zielone oczy, co ludzie łączyli z jego celtyckim pochodzeniem, gdyż rodzice braci Cassidych przywędrowali z Irlandii. W przypadku Anny barwy te były przytłumione. Jej duże oczy miały głęboki i łagodny kolor mchu, a włosy mieniły się barwami ciemnego złota i miedzi.

- Myślę, że moja błękitna... - zaczęła wolno.

- O nie, Anno! - przerwała jej Sonia. - Nie możesz założyć tej sukni, bo wszyscy już cię w niej widzieli...

- Gillie zaplanowała bal maskowy - wtrącił ze skwaszoną miną Marc. - Będziecie więc musiały wypożyczyć kostiumy.

Anna poczuła ulgę, że temat zakupu „wystrzałowych ciuchów” przestał być aktualny. Głęboko zakorzeniony nawyk oszczędzania opuszczał ją z trudem i choć nie była biedna, to niefrasobliwość, z jaką Sonia mówiła o wydaniu dużej sumy pieniędzy, przypomniała jej, jak ciężko musiała pracować, by wspiąć się tak wysoko i jak wciąż walczyłyby o przetrwanie swojego małego biznesu, gdyby nie Marc. Być może teraz, jeśli przyjaciółka nie myli się co do zamiarów brata, uda jej się pozostawić za sobą na zawsze dni biedy i nieszczęść.

Gdy trochę później siedziała z Markiem i Sonią w ekskluzywnej restauracji, pomyślała, że teraz jest to jej świat. Patrzyła na siebie i na swoich przyjaciół tak, jak mógłby patrzeć ktoś z zewnątrz i z dumą powtarzała w duchu, że dokonała tego dzięki swojej ciężkiej pracy. Nie było w nim miejsca na wspomnienia o Ryanie Cassidym czy o Empire Street. Nie miała zamiaru pozwolić mężczyźnie, który już kiedyś pogroził jej życie w mroku, by teraz rzucił cień na to, co osiągnęła. To Marc mógł jej zapewnić poczucie bezpieczeństwa i stabilizację do końca życia, czego dotychczas tak Annie brakowało. Ale może martwi się całkiem niepotrzebnie. Jeśli Marc rzeczywiście kocha ją i chce się z nią

ożenić, to jej przeszłość nie powinna mu przeszkadzać. Przecież powinien wiedzieć, że znaczenie ma tylko ich wspólna przyszłość.

Anna z lekkim sercem wyszła z restauracji. Wolnym krokiem podążali z Markiem na parking. Sonia poszła do nocnego klubu, gdzie była umówiona ze swoim narzeczonym. Przepełniona nadziejami na przyszłość, Anna nagle zeszywniała, gdy ciszę nocy zakłócił przenikliwy gwizd.

- Hej, ślicznotko - dobiegł ich z tyłu krzyk. - Daj nam całusa!

W tym głosie nie było groźby, a poza tym obok szedł Marc, więc mogła czuć się zupełnie bezpieczna. Jednak wspomnienia o Ryanie Cassidym i o Empire Street wciąż jej nie opuszczały. Nagle poczuła się tak, jakby czas cofnął się o całe lata, a ona stała się znowu zagubioną, zalęknioną piętnastolatką.

Marc natychmiast się odwrócił.

- Podejdz tutaj, łajdaku! - wykrzyknął.

- Wolałbym podejść do damy - rozległa się bełkotliwa odpowiedź. - Co ty na to, kochanie? Co sądzisz o całusie dla faceta, który ma przed sobą ostatnią noc wolności?

- Oto do jakiego stanu się doprowadziłeś! - z pogrążonego w ciemnościach parkingu dobiegł głos innego mężczyzny. Annie zaparło dech, gdy w głębokich tonach, wymawianych w sposób typowy dla północy kraju, odkryła ledwo dostrzegalne ślady irlandzkiego akcentu. Od kiedy opuściła Empire Street, rzadko słyszała podobny akcent, ale ten głos ugodził ją prosto w serce. Była pewna, że ten drugi mężczyzna to nikt inny, jak tylko sam Ryan Cassidy.

- Co tu jeszcze robisz? Wsiadaj do samochodu, idioto!

„Wsiadaj do samochodu”. Anna nie miała już wątpliwości. Zwyczajne, proste zdanie, wypowiedziane tym szczególnym głosem, huczało teraz w jej głowie.

- Przepraszam - rzucił w kierunku Anny i Marca, ale śmiech, jaki poprzedził te przeprosiny, świadczył, że nie przywiązywał do nich wagi. Wpakował swojego pijanego towarzysza do samochodu. - Co za noc - powiedział na koniec.

W chwilę potem ciemny sportowy wóz przemknął obok nich drogą wyjazdową z parkingu. Mimo chwilowego odrętwienia Anna zauważyła, że ten lśniący samochód z potężnym silnikiem to prawdziwe cacko w porównaniu z gruchotem, który Ryan prowadził tamtej fatalnej nocy przed laty. Przekleństwo Marca otrzeźwiło ją jeszcze bardziej. Spozobregła, że siedzący na tylnym siedzeniu sportowego auta mężczyzna odwrócił się i posyła jej całusa za całusem.

- Sukinsyny! - wrzasnął wściekły Marc.

Na widok dzikiej furii i grymasu obrzydzenia na twarzy przyjaciela wcześniejsze, nerwowe podniecenie Anny szybko się ulotniło. Zastąpił je zimny strach.

- To chamy z północy! Pewnie przyjechali tu na mecz. Nie mają prawa zbliżać się do kulturalnych ludzi! - podsumował ich ostatecznie Marc.

Anna poczuła, jak jej strach zbliża się do niebezpiecznej granicy. Przecież on nie wiedział zupełnie nic o tych mężczyznach, by móc ich osądzać. Uznał ich za prostaków zasługujących na pogardę tylko dlatego, że mówili z północnym akcentem. Pomyślała, że Marc nigdy nie zaakceptuje faktu, że mieszkała przy tej samej ulicy co Ryan Cassidy, w tym samym mieście na północy kraju.

- „Ostatnia noc wolności”. Rzeczywiście! - powtórzył.

Zdanie, które wypowiedział towarzysz Ryana, ugodziło Annę do żywego. To musiał być Rory, średni syn Cassidych, który miał bardzo złą reputację. Mówił z tym samym irlandzkim akcentem.

Kiedy mieszkała w Forgeley, nie wiedziała o nim zbyt wiele, bo od początku była zapatrzona w Larry'ego, a poza tym Rory należał do młodocianej bandy, która szokowała jej ojca i przerażała ją samą. W

pewnym momencie znalazł się, jak mówiono u Cassidych, z dala od domu, czyli po prostu w więzieniu, odsiadując wyrok za włamanie. Nikt też nie oczekiwał, że na pogrzebie najstarszego brata pojawi się Ryan. Nie było go w Forgeley już prawie od trzech lat i nikt, może z wyjątkiem jego matki, nie miał zielonego pojęcia, gdzie przebywa. Ale w końcu się pojawił i skutki tego nieoczekiwanego przyjazdu miały rujnujący wpływ na życie Anny. Wydarzenia tamtego dnia były niczym kropla, która przepelniła kielich goryczy, i skłoniły dziewczynę do zerwania z całym dotychczasowym życiem.

Zadrzała ponownie czując, jak pomimo ciepłej, letniej nocy zimno przenika ją do szpiku kości. Mogła być tylko wdzięczna Marcowi, że zbyt zdenerwowany z powodu incydentu, nie przerywał milczenia. Nie umiałyby odpowiedzieć na żadne z jego pytań i nie znalazłaby odpowiednich słów, by wyrazić swoje myśli.

A więc Rory Cassidy wyszedł znów na wolność, ale chyba nie na długo. Młodzieńcza zapalczywość widocznie nie opuściła go od czasu, gdy Anna wyprowadziła się z Empire Street. Jego ostatnia noc wolności. Za co tym razem idzie siedzieć? Za włamanie czy za coś gorszego? Cokolwiek by to było, Ryan najwyraźniej nie przejmował się zbytnio tym, że jego brat jest na bakier z prawem. Rozbawienie w jego głosie pokazywało to aż nazbyt jasno.

Ryan Cassidy. Nadzieja i radość związane z Markiem, które towarzyszyły Annie tego wieczoru, zniknęły bez śladu. Wszystkie jej myśli skupiły się wokół Ryana, tak jak było przed laty. Miał wspaniały samochód, był u szczytu sławy, za jego pomyślność wznoszono toasty. Znakomicie zarabiał. Ale pod czarującą powłoką krył się wciąż ten sam ordynarny i niebezpieczny mężczyzna, z powodu którego wyjechała z Forgeley. Chciała przed nim uciec, mając nadzieję, że już nigdy go nie spotka. To, że ich drogi skrzyżowały się ponownie w momencie, kiedy w jej życiu nastąpiła tak znacząca zmiana, odczuła jako straszliwą ironię losu. Mogła tylko przeklinać taki zbieg okoliczności. Wiedziała, jak Marc jest wyczulony na pozycję swoją i ludzi z najbliższego otoczenia. Zdawała sobie sprawę, że chce poślubić kobietę z jego środowiska, którą mógłby

traktować niczym cenny nabytek, bo nawet o małżeństwie myśli jak człowiek należący do najlepszego towarzystwa i jak biznesmen. Nie może mu więc powiedzieć prawdy o swojej przeszłości. Ale Ryan Cassidy byłby do tego zdolny. Za pomocą kilku nierozważnych słów potrafiłby zrujnować jej obecne życie i zaszkodzić jej znacznie bardziej niż wtedy, w Forgeley, bo teraz miała dużo więcej do stracenia.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy ten bal nie jest fantastyczny?

Sonia, przebrana za Kleopatę, odpoczywała w fotelu obok przyjaciółki.

Anna potakująco skinęła głową. Rozglądała się po pięknie udekorowanej, wypełnionej mnóstwem ludzi sali balowej. Tuż obok diabeł tańczył z aniołem, a goryl z Piotrusiem Panem. Byli królowie i królowe, Kot w Butach i Święty Mikołaj, a nawet średniowieczny rycerz w ciężkiej zbroi. Na szczęście nie widziała nikogo, kto wysoką sylwetką, czarnymi włosami i smagłą cerą przypominałby jej Ryana Cassidy'ego.

- Gdzie jest Marc? - spytała Sonię.

- Poszedł po szampana.

- Cudownie! Tak strasznie chce mi się pić. Tańczyłam bez chwili wytchnienia ponad godzinę.

Sonia wysunęła nogi i rozkoszowała się widokiem swoich sandałów, bogato ozdobionych sztucznymi klejnotami.

- William stanął w kolejce po losy na loterię fantową Gillie - powiedziała podnieconym głosem. - Próbowałam wyciągnąć od niej tajemnicę głównej wygranej, ale nic z tego nie wyszło. Wyglądała na zadowoloną i powiedziała tylko, że główna wygrana jest w kopercie, która leży na stole z fantami. To musi być coś absolutnie ekstra. Jak ci się wydaje, co to może być?

- Nie mam pojęcia - odparła Anna.

Spojrzała na olbrzymi stół, na którym stały przedmioty ofiarowane na loterię Gillie. Z przyjemnością zauważyła, że również dar jej firmy, zestaw kosmetyków w eleganckich flakonach z przezroczystego szkła, został wspaniale wyeksponowany. Jej uwagę przyciągnęła także zwykła

szara koperta, na której widniał wielki, czerwony znak zapytania, i która absolutnie nie pasowała do pozostałych luksusowych przedmiotów.

- Pewnie masz rację, że w tej kopercie ukryta jest jakaś rewelacja - dodała z zadumą.

- Skoro mówimy o rewelacjach, to jeszcze raz muszę ci powiedzieć, że wyglądasz w tej sukni nadzwyczajnie. Marc aż wytrzeszczył oczy, kiedy cię zobaczył - oznajmiła z uśmiechem Sonia.

- Bardzo w to wątpię - zaoponowała Anna. Marc nie należał przecież do mężczyzn, którzy okazują uczucia w taki sposób. Ale Anna była bardzo zadowolona ze swego wyglądu. Wytwornie prosta biała jedwabna suknia z okresu regencji na jakiejś innej kobiecie mogłaby wydać się zbyt surowa, lecz dla niej była niezwykle korzystna. Biel jedwabiu nadawała włosom blask wypolerowanego złota, a oczom ciemny i tajemniczy koloryt leśnego jeziora. Niewielkie bufiaste rękawy eksponowały smukłość ramion i talii, łagodząc przy tym chłopięce kształty jej figury. Kiedy się poruszała, suknia falowała łagodnie wokół kostek, a satynowe pantofle były tak lekkie, że miała wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Stroju dopełniał biało-złocisty wachlarz, którym wachlowała się teraz, próbując ochłodzić rozpalone policzki.

- Chciałabym, by Marc przyszedł już z drinkami. Tak tu gorąco.

- Oj, obawiam się, że jeszcze długo go nie będzie. Pewnie spotkał przy barze znajomych i rozprawia o skokach cen akcji na giełdzie. Ale możesz wyjść do ogrodu, by zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Powiem mu, gdzie jesteś, jeśli oczywiście zjawi się, zanim wrócisz.

- Wychodzę, Kilka minut na dworze powinno mnie odświeżyć. Wrócę na kolację.

Wolno przesuwiała się do wyjścia przez malowniczo wyglądający tłum. Nigdy nie lubiła dużych zgromadzeń, wolała kameralne spotkania z przyjaciółmi. Teraz uświadomiła sobie, że to z powodu tłumy czuje się tak wyczerpana bałem. Z uczuciem ulgi weszła do cichego ogrodu. I choć



zapadła już noc, wciąż było bardzo ciepło, a zapach kwiatów unosił się w powietrzu niczym delikatne perfumy. W swoich satynowych pantoflach bezszelestnie spacerowała alejką. Oddychała głęboko i czuła się coraz bardziej odprężona.

Przyrzekła sobie, że dziś nie będzie zastanawiała się nad swoim przeszłym i obecnym życiem, ale jej myśli mimowolnie powędrowały ku czasom, kiedy Marc zaczął zapraszać ją na takie imprezy. Często odczuwała chęć ucieczki, odosobnienia choć na kilka chwil, by uwolnić się od napięcia, jakie odczuwała, przebywając w świecie tak odmiennym od tego, który знаła wcześniej. Może było tak dlatego, że bardzo chciała należeć do tego nowego świata i bała się, iż nigdy nie zostanie zaakceptowana, bo zdradzi się niewłaściwym zachowaniem. To był świat, z którego wywodził się jej ojciec. Zawsze marzył, by do niego powrócić. Nie udało mu się zrealizować swojego najgłębszego pragnienia, lecz ona zaspokoiła tę jego ambicję. Zrobiła to dla niego.

Ledwie dosłyszalny dźwięk kroków za jej plecami sprawił, że na moment zeszytniała, ale doszła do wniosku, że to może być tylko Marc i natychmiast się uspokoiła. Pewnie wrócił z drinkami i Sonia powiedziała mu, gdzie ma jej szukać. Rozmyślnie zwolniła kroku, by dać mu do zrozumienia, że czekała na niego. Nie odwróciła się, tylko spoglądała na ozdobny staw z wysmukłą fontanną.

Sceneria była bardzo romantyczna. Skąpany w księżycowej poświacie ogród, zapach kwiatów i łagodny dźwięk pluskającej wody. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że może Marc szukał jej z jakiegoś szczególnego powodu. Może wybrał dzisiejszą noc, by się jej oświadczyć. Zgodziłaby się bez wahania i zachowała tak, by odczuł, że jest szczęśliwa. Wróciliby wtedy na bal i oznajmili o swoich zaręczynach, a ona, jako przyszła pani Denton, poczułaby się absolutnie bezpiecznie wiedząc, że już nigdy nie będzie kimś obcym.

Cichy odgłos kroków przybliżył się. Ale to stąpanie było zupełnie niepodobne do energicznego chodu Marca. Zwykle poruszał się bardzo szybko. Jednak tylko przez chwilę Anna żałowała, że tak się zawsze

śpieszył. Wiedziała, że jeśli chce się coś w życiu osiągnąć, to trzeba całkowicie skupić się na realizacji swoich ambicji. W końcu, czy nie był to i jej sposób życia, gdy firma kosmetyczna Sekrety Natury przestała być marzeniem, a stała się rzeczywistością?

Dzisiaj nie było jednak pośpiechu i w fantazyjnej scenerii balu kostiumowego, w tym pięknym ogrodzie, mogła oddać się marzeniom. Może Marc czuł to samo. I może dlatego nie odezwał się jeszcze wiedząc, że jego mocny głos nieodwracalnie zniszczyłby atmosferę. Spoglądała więc na rozpryskującą się wodę fontanny i czekała.

Był już bardzo blisko. Słyszała jego spokojny oddech, niemal czuła jego ciepło. Pomyślała, że nigdy dotąd nie osiągnęli takiej harmonii nastrojów. Straciła głowę, gdy silne ramiona otoczyły jej kibić i została łagodnie przytulona. Niemal przestała oddychać, czując na plecach, biodrach i nogach jego ciało, silne i gorące, a na szyi pieścotliwy pocałunek. Nie chciała nic mówić i nie chciała, by on się odezwał. Bała się, że magiczny czar tej chwili pryśnie. Nigdy dotąd nie doznała tak silnie poczucia jego męskości i swojej kobiecości. Nigdy jeden delikatny dotyk ust nie obudził w niej tak dojmującego pragnienia bycia w ramionach mężczyzny, który pieści ją i całuje aż do utraty świadomości. Miała wrażenie, że jej ciało i ziemia pod stopami rozplývają się. Z uczuciem błędnego omdlenia oparła głowę na silnym ramieniu i przymknęła oczy, a on delikatnie odwrócił ją i zaczął całować. Jego pocałunek był namiętny, ale nie brutalny, jakże inny od niemal koleżeńskich całusów, którymi obdarzał ją do tej pory. Pożądliwie poddała swoje usta jego pieścotom, czując przyśpieszone bicie jego serca i żar pulsującej w jego żyłach krwi. Nigdy nie wyobrażała sobie, że Marc wzbudzi w niej takie doznania. Muskał ustami jej szyję i policzki. Nagle zaczął się cicho śmiać niskim, matowym głosem.

- A więc, moje śliczności - wyszeptał. - Wiem, że czekałaś tu na mnie.

Anna oniemiała. Cofnęła się gwałtownie jak ktoś, komu wymierzono siarczysty policzek. Zakręciło się jej w głowie. Rozpaczliwie próbowała nie zauważać miękkiej, melodyjnej nuty irlandzkiego akcentu w głosie

mężczyzny. Na dłuższą chwilę znieruchomiła w jego ramionach niczym posąg, trwając tak z odchyłoną do tyłu głową i zamkniętymi oczami, ale narastające uczucie wstrętu i oburzenia kazało w końcu spojrzeć mu w twarz.

- Z całą pewnością... - zaczęła, lecz najważniejsze słowo uwięzło jej w gardle. Dłużej nie mogła się oszukiwać, widząc twarz mężczyzny.

Straciła wszelką nadzieję, że to tylko wyobraźnia lub zły sen, gdy spostrzegła surowe rysy, wydatne kości policzkowe i głęboko osadzone oczy, które migotały w świetle księżyca. Teraz ciemne i nieprzeniknione jak woda w ogrodowym stawie, mogły należeć tylko do Ryana Cassidy'ego.

- I ja ciebie szukałem - powiedział nie czekając, aż skończy zdanie. - I cóż to za wspaniałe miejsce, w którym właśnie cię odnalazłem...

- Nie czekałam na ciebie! - zaprzeczyła gwałtownie Anna. - Myślałam, że to mój...

Chciała powiedzieć - narzeczony, ale się zawahała. Przecież jeszcze nie miała zaręczynowego pierścionka. Z błyskawicznego spojrzenia Ryana na jej lewą dłoń wywnioskowała, że odkrył, iż chciała go oszukać.

- Wzięłam cię za kogoś innego - powiedziała z rezygnacją.

- Za Marcusa Dentona? - zapytał bez ceregieli. Skąd on to wie? Skąd wie o niej cokolwiek? Czy uważa, że ona jest w tym towarzystwie kimś obcym? Zadawała sobie te pytania, ale nawet nie próbowała na nie odpowiedzieć, zbyt zdeprymowana tym, co się wydarzyło. Była tylko wdzięczna losowi, że jest ciemno i nie widać jej płonącej twarzy. Doznała kolejnego szoku, gdy spostrzegła, za kogo jest przebrany.

Oto, przed damą z okresu regencji stał dandys z tej samej epoki. W błękitnym surducie, białej koszuli, szkarłatnej kamizelce i błękitnych obcisłych spodniach. Wspaniale prezentował się w tym kostiumie, który uwydatniał barczyste ramiona, smukłość sylwetki i wąskie biodra. Jedwabna koszula i wyszukany krawat, w których inny mężczyzna mógł

sprawiać wrażenie zniewieściałego, podkreślały męskość jego surowych rysów. Stał przed nią niczym zawadiaka, żywcem przeniesiony z dziewiętnastowiecznych romansów. A ona, jak omdlewająca heroina z kart tych samych powieści, czuła przemożną chęć, by otworzyć wachlarz. Chciała ukryć i ochłodzić rozpaloną twarz.

- Popeliłeś błąd - powiedziała zimno. Była bardzo zdenerwowana.

- Żadnego błędu, moje śliczności. I jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy to ty jesteś osobą, której szukałem, to teraz pozbyłem się ich raz na zawsze.

Znowu się przestraszyła. Na jej twarzy pojawił się wyraz protekcyjnej wyniosłości.

- Nie wiem, co to znaczy - oświadczyła lodowatym tonem. Była szczerze zaskoczona, gdy Ryan się roześmiał.

- W takim razie sprawa załatwiona! - rzucił szyderczym tonem. - Znam to spojrzenie, ten wyraz twarzy, jakby jakiś przykry zapach snuł się tuż koło twego nosa. - I ponurym głosem dodał: - Dość się na to napatrzyłem i starczy mi do końca życia, Anno Luizo.

- Mam na imię Anna. - Jej słowa były niczym odłamki lodu.

- O tak, rozumiem, dlaczego tak teraz siebie nazywasz, lecz wiemy oboje, że nie zawsze tak było, moje śliczności.

- Nie wiem, o czym mówisz!

Gdy usiłowała wymknąć się z powrotem do sali balowej, chwycił ją za ramię i powstrzymał.

- Wiesz doskonale o czym mówię, tak jak doskonale wiesz, kim jestem.

Opanowało ją desperackie pragnienie, by wyrwać się z jego uścisku. Nie słuchać, co ma do powiedzenia, odwrócić się i pobiec do Marca. Ogarnęło ją przerażenie, gdy wyobraziła sobie, że mógł spotkać ją tu razem z Ryanem Cassidym.

- Wybacz, ale muszę wrócić na bal.

Zrobiła ruch, by wyswobodzić ramię z jego uścisku. Ku jej zdumieniu Ryan natychmiast ją puścił. Na jego twarzy widniał zimny uśmiech triumfu.

- Jeśli pan Denton niepokoi się o ciebie, to z pewnością cię szuka - powiedział aksamitnym głosem.

Anna zaniepokoiła się. Dlaczego tak o nim powiedział? Tym jednym krótkim zdaniem zniszczył chwile szczęścia, które przeżyła z Markiem w ogrodzie, oddając się marzeniom. I zrobił to tak, jakby chciał podeptać delikatny kwiat. Ale wiedziała, że było to niepodobne do Marca, by zaczął jej szukać. Gdy zaangażował się w rozmowę o interesach, zapominał o bożym świecie.

- Nie masz prawa wypowiadać się na temat Marca! - odpowiedziała podniesionym głosem. - Nic o nim nie wiesz!

- Wiem, że jest bardzo bogaty - odparł gładko Ryan. - Powiedz mi, Anno-Luizo, czy właśnie to, że Marcus Denton może ci ofiarować wszystko, czego zapagniesz, tak cię w nim pociąga?

- To nieprawda! - odparowała z wściekłością i pomyślała, że Ryan Cassidy nigdy nie zrozumie, co może zapewnić jej Marc, bo nigdy nie odczuwał potrzeby bezpieczeństwa i stabilizacji. - Chcę być z nim, bo jest dżentelmenem, którym ty nigdy nie będziesz!

Jego rysy stężały, a oczy zwęziły się niebezpiecznie. Na pobludłej twarzy malowało się z trudem hamowane oburzenie. Widząc to Anna pożałowała swojego wybuchu i przerażona cofnęła się, kiedy Ryan postąpił w jej kierunku. Ale on tylko delikatnie ujął jej dłoń.

- A więc jestem źle urodzonym prostakiem - powiedział cicho, co całkowicie ją zaskoczyło. - Czy tak właśnie o mnie myślisz? Sądzę, że z łatwością mógłbym stać się dżentelmenem.

Skłonił się przed nią w wyszukany sposób i z namaszczeniem zaczął całować jej dłoń. W pierwszej chwili chciała ją wyrwać, bo pomyślała, że Ryan po prostu wciela się w rolę teatralną, która pasowała do jego kostiumu. Ale nie potrafiła zachować się obojętnie wobec tego mężczyzny, który pochylał przed nią swoją dumną głowę. Musiała przyznać, że nikt spośród jej znajomych nie był w stanie odegrać staromodnego gestu kurtuazji z taką gracją i zapamiętaniem jak właśnie Ryan Cassidy. Z pewnością Marc nie był do tego zdolny. Jej puls gwałtownie przyśpieszył, gdy poczuła, jak subtelnie ten zawadiaka pieści jej dłoń.

Nagle uniósł głowę i popatrzył jej w oczy, uśmiechając się z cynicznym rozbawieniem. Czar prysł natychmiast. Cassidy nie był już bohaterem romantycznej powieści, ale mężczyzną, który traktował ją tak strasznie przez wszystkie te lata, gdy mieszkała w Forgeley. Wzburzona, wyrwała rękę z jego uścisku.

- Panie Cassidy, by zostać dżentelmenem, trzeba znacznie więcej niż kilka teatralnych gestów! - oznajmiła ostrym, podniesionym głosem. - Proszę wybaczyć, ale stanowczo chcę wrócić na bal.

- Oczywiście...

Ku przerażeniu Anny Ryan chciał ją objąć. Było jasne, że zamierzał wrócić z nią razem do sali balowej.

- Nie!

Z desperackim krzykiem wyswobodziła ramię i znalazła się kilka kroków od niego.

- Nie dotykaj mnie! Nie chcę, byś wracał ze mną! Marc byłby...

Nie dokończyła, bo furia na twarzy Cassidy'ego sprawiła, że słowa uwięzły jej w gardle.

- Marc byłby? - powtórzył jak echo gardłowym głosem. - Proszę mi powiedzieć, panno Miller, co zrobiłby pan Denton?

-On...

Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Niczym bumerang powróciły obsesyjne myśli, że Marc nic nie wie o jej przeszłości. Kilka tygodni temu, kiedy zaczęło się mówić o balu, zbierała się na odwagę, by powiedzieć mu prawdę. Ale przeświadczenie, że jest już za późno, zwyciężyło, bo złe ziarno zostało posiane trzy lata temu, gdy go poznała i gdy bardzo ogólnikowo opowiedziała mu historię swojego życia. Dowiedział się wtedy tylko tego, że wychowała się na północy, ale nie odważyła się powiedzieć, że było to w Forgeley, w dzielnicy nędzy. A poza tym wiedziała przecież, jaką wagę przywiązywał do dobrego urodzenia i bogactwa, których los mu nie poskąpił. Bała się, że nie tylko nie wybaczy jej oszustwa sprzed trzech lat, ale zerwie z nią całkowicie. Teraz była pewna, że Marc nigdy nie zaakceptuje roli, jaką w jej życiu odegrał Ryan Cassidy.

- On nic nie wie o twojej przeszłości - powiedział Ryan z naciskiem, jakby czytał w jej myślach. - Nie dziwię się, że jesteś tak zdenerwowana, bo boisz się, że Marcus Denton odkryje pewnego dnia prawdę twoim życiu w Forgeley.

- Wcale nie!

Anna drgnęła w przypiływie paniki. Z wyrazu twarzy Ryana wyczytała, że jej histeryczny ruch i krzyk tylko upewniły go, że miał rację. Uśmiechał się triumfalnie, a ona rozpaczliwym gestem zaciskała dłonie na swojej sukni.

- A jeżeli on tę prawdę pozna, co się wtedy stanie? - kontynuował szyderczym głosem, ignorując jej wzburzenie. - Jestem ciekaw, czy te zaręczyny, które oczywiście tyle dla ciebie znaczą, będą wówczas aktualne? - Spojrzał wymownie na jej lewą dłoń, na której nie było zaręczynowego pierścionka. - A może pan Denton uważa, że mężczyzna z jego pozycją społeczną powinien ożenić się z kobietą o równie dobrym pochodzeniu, a nie z kimś, kto...

- Dość! - przerwała mu ostro, a jej głos odbił się echem w ciszy ogrodu.

Nie potrafiła nad sobą zapanować. Ta reakcja powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć i pokazała, jak wielkie znaczenie mają dla Anny sprawy, o których mówił. Groźba, jaka się w nich czaiła, zniszczyła doszczętnie magiczny nastrój, któremu się wcześniej poddała. Szarmancki zawadiaka z okresu regencji zniknął bezpowrotnie. Jego miejsce zajął mężczyzna o zimnych oczach i twardym sercu, który zrujnował kiedyś jej życie, a teraz mógł, gdyby tylko zechciał, zniweczyć marzenie Anny o wspólnej przyszłości z Markiem.

- Jeśli zważyć, jak się tym zamartwiasz, można sądzić, że pan Denton jest całkowicie nieodpowiednim mężczyzną dla ciebie - ciągnął nieugięty Ryan. - Może nadszedł czas, by poznał prawdę?

- Szantażujesz mnie? - spytała głucho. Miała poczucie nieuchronności zdarzeń. Ostatecznie, działo się coś, czego od czasu swojego wyjazdu z Forgeley nie mogła wykluczyć.

- Czego ode mnie chcesz? Wszystko co mam, to pieniądze...

- To nie pieniędzy od ciebie oczekuję - sucho odrzucił jej ofertę. - Własnych mam więcej, niż potrzebuję.

- A więc czego?

Na myśl, że chodzi o coś innego, poczuła żelazny uścisk. Uznała, że Cassidy chyba nie ma na myśli...

- Jest coś takiego.

Widząc w jej oczach strach, pośpieszył z szyderczym wyjaśnieniem.

- O, nie wpadaj w panikę. Nie mam na myśli twojego pięknego ciała. Byliśmy już raz ze sobą, pamiętasz? Chyba żadne z nas nie chciałoby powtórzyć tego doświadczenia.

Anna zacisnęła zęby, by nie krzyknąć z bólu. I jeśli potrzebowała jakiegoś dowodu, że ta noc sprzed ośmiu lat nic dla niego nie znaczyła, właśnie go otrzymała w postaci grubiańskiego wyznania.



- Ty sukinsynu! - rzuciła mu w twarz, całkowicie tracąc panowanie nad sobą.

Ryan przyjął obelgę z cynicznym uśmiechem.

- Jak pani powiedziała wcześniej, nie jestem dżentelmenem, ale źle urodzonym prostakiem.

Nagle stracił chęć znęcania się nad nią.

- Wracaj do sali balowej i do pana Dentona, którego tak cenisz, zanim zaczniesz cię szukać. Nie chcesz chyba, by spotkał nas tu razem, Anno-Luizo?

Zanim skończył mówić, już jej nie było. Jego ostatnie słowa doścignęły ją, gdy biegła do sali balowej, chcąc się uwolnić od mężczyzny, który pozbawił ją dziewictwa dla własnej egoistycznej przyjemności. Nie zważał na fakt, że była w żałobie po kimś, kogo kochała - po jego bracie.

Jeśli obawiała się, że Marc, nie zastawszy jej z Sonią, zacznie coś podejrzewać i będzie domagał się wyjaśnień, to szybko przekonała się, że jest w błędzie. Nie miała pojęcia, jak długo przebywała w ogrodzie. Marc nawet nie zauważył jej zniknięcia. Stał przy barze z kieliszkiem wina i pochłonięty był rozmową z dobrze prosperującym maklerem giełdowym.

Kiedy indziej prawdopodobnie roześmiałaby się na ten widok, przyjmując go z wyrozumiałym spokojem, bo taki właśnie był Marc i nikt nie mógł go odmienić. Teraz jednak jej myśli przepełniały groźby Cassidy'ego. Wciąż słyszała jego słowa: „Jeśli pan Denton niepokoi się o ciebie, to z pewnością cię szuka”. Opanował ją nagły gniew i irracjonalne przeświadczenie, że Marc ją opuścił, bo swoim zachowaniem potwierdził insynuacje Ryana. Gdy podeszła do niego, tylko skinął głową, bez słowa przeprosin, co podsyciło jej gniew.

- A więc tu jesteś! Wszędzie cię szukałam. Poszedłeś po wino sto lat temu. Umieram z pragnienia - powiedziała z wymówką.

- Właśnie szedłem do was.

Ton jego głosu i ledwie zauważalne zmarszczenie brwi uświadomiły Annie, że jest niezadowolony z jej zachowania. Wiedziała, że publiczne okazywanie uczuć uważał za bardzo nietaktowne i że musiał czuć się zakłopotany jej wybuchem w obecności znajomego. Przyrzekła sobie, że od tej pory będzie liczyła się z jego zdaniem, ale po spotkaniu z Ryanem Cassidym czuła się jak najeżony kolcami ciernisty krzew. Miała wielką ochotę napić się i pomyślała, że wołałaby coś znacznie mocniejszego niż szampan.

- Właśnie rozmawialiśmy z Clivem o akcjach Eastmana.

Opanowanie Marca odebrała jak wyrzut i przykład zachowania, którego od niej oczekuje. Chcąc uspokoić nerwy, popełniła drugą gafę, pijąc zbyt pośpiesznie szampana. Co ja, na Boga, robię, przecież potrzebuję Marca, zaniepokoiła się. Właśnie dzisiaj zrozumiała ostatecznie, jak ważne są dla niej jego oświadczenia, i mając świeżo w pamięci groźby Ryana, uznała, że nie może sobie pozwolić na żaden fałszywy krok, bo zniweczy swoje marzenia raz na zawsze.

- Przepraszam, że przeszkodziłam wam w rozmowie - powiedziała bardzo uprzejmie.

Dyskretny uśmiech Marca świadczył o tym, że przeprosiny zostały przyjęte. Jej świat, który przez chwilę chwiało się niebezpiecznie w posadach, wrócił na swoje miejsce. Nie potrafiła jednak zapomnieć uwagi Ryana, że Marc jest dla niej absolutnie nieodpowiednim mężczyzną. Uczepiła się swojej wiary, że to właśnie on jest jej kotwicą i przystanią, jedynym ogniwem łączącym ją ze światem, do którego tak desperacko chciała należeć. Bała się, że bez niego zginie, zupełnie jak rozbitek na falach wzburzonego morza, samotna i bezbronna, wydana na pastwę takich mężczyzn, jak Ryan Cassidy. Teraz jednak jej pewność, że znajomość z Markiem uwieńczy ślub, została zachwiana.

Ryan Cassidy zagrażał podstawom, na których Anna budowała swoją przyszłość. Jego obecność w Londynie była niczym bomba zegarowa z

opóźnionym zapłonem. Przerazało ją, że nie wie, kiedy ta bomba wybuchnie. Była w pełni świadoma, że teraz znajomość z Markiem nie jest już dla niej ochroną, lecz stanowi broń przeciwko niej w rękach nieprzejednanego wroga. Nie miała pojęcia, czego Ryan od niej chce. Wiedziała tylko, że nie ma innego wyjścia, jak tylko czekać, aż powie jej, czego żąda, w zamian za milczenie. Z całą pewnością przyjmie każde warunki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Anna doskonale wiedziała, że nie ukryje się przed Ryanem Cassidem przez resztę nocy. Groźba szantażu sprawiła, że potrzebowała sporo czasu, by na powrót odzyskać spokój i ukryć wzburzone uczucia pod maską swobody. Męczyło ją, że musi bardzo uważać na to, co mówi do Marca, a przecież do końca balu było jeszcze daleko. Niedługo czekała ich loteria fantowa.

- Panie i panowie! - jakby w odpowiedzi na myśli Anny, w sali jadalnej rozległ się głos Gillie. - Zbliża się moment ogłoszenia zwycięzców i wręczenia wygranych w naszej loterii. Wszyscy proszeni są do sali balowej. Proszę przygotować wykupione przez państwa losy!

Anna wstała od stołu, by przejść z Markiem do sali balowej. Ale głos Gillie rozległ się ponownie.

- Z radością zawiadamiam, że wygrane będzie wręczał nasz honorowy gość, Ryan Cassidy.

Na dźwięk tych słów Anna na chwilę zamarła. Natychmiast jednak udzieliła sobie reprimendy. Poczła się bezpiecznie, gdy wraz z Markiem znaleźli się w sali balowej, w towarzystwie Soni i Williama. Jeśli Gillie przekonała Ryana, by wręczał wszystkie wygrane, to trochę to potrwa, a ona się odpręży. Przecież nie był w stanie dręczyć jej zajęty taką ceremonią.

- Masz swoje losy? - zapytał Marc.

Anna poczuła mdłości. Marc był bardzo skąpy. Mógł sobie pozwolić na wielokrotne wykupienie każdej z wygranych, ale wciąż ekscytował się tym, że kupił jedną groszowej wartości. Było jej przykro, ale nagle William zwrócił ich uwagę na parę stojącą po przeciwnej stronie sali.

- Czy nie zaskoczyło was, z kim przyszedł Gerald? - zapytał protekcyjnym tonem. - Nie do wiary, ale z tą wystraszoną Tiffany.

- Z naszą prowincjonalną gwiazdką!

Pogarda, z jaką Marc to powiedział, sprawiła Annie ból. Wiedziała doskonale, co ma na myśli. Tiffany Redburn była modelką, młodziutką i bardzo urodziwą. Zyskała właśnie rozgłos, a niedawno przyjechała do Londynu z prowincji. Marc, od chwili gdy poznał ją w towarzystwie swojego przyjaciela Geralda, stale drwił z jej akcentu i braku obycia.

- Nie robi żadnych postępów, ba, chyba jest z nią jeszcze gorzej. Założyła jakiś monstrualnie wielki i wyjątkowo ohydny pierścionek - ciągnął nieubłaganie William.

- Wielki Boże! - wykrzyknął z niesmakiem Marc.

- Trzeba chyba stracić rozum, by się z nią pokazywać.

- A ja myślę, że ona ma dużo wdzięku - zaproponowała Anna.

Musiała to powiedzieć. Ta dziewczyna przypominała jej czasy, kiedy sama dopiero co wyjechała z hrabstwa Yorkshire i nie nauczyła się jeszcze dobrych manier, które później tak pomogły jej zaprezentować się Marcowi w roli panienki z dobrego domu.

- Być może ma wystarczająco dużo wdzięku jak na kobietę jej pokroju.  
- Marc rzucił drwiące spojrzenie w stronę Tiffany. - Jest znakomita, by się z nią przez chwilę zabawić, ale nie, by się z nią ożenić... - Rozmowę przerwał nosowy głos Gillie Ford.

- A więc tu jesteś! Gdzie przepadłeś na tak długo? - zwróciła się do Marca.

Anna poczuła, że traci grunt pod nogami. Tuż za Gillie z tłumu wynurzył się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Pomyślała, że z pewnością dosłyszał kąśliwe uwagi Marca pod adresem Tiffany, a sardoniczny uśmiech oraz cynicznie uniesione brwi szybko ją o tym przekonały.

- Chciałabym poznać was z Ryanem Cassidym, naszym honorowym gościem. Jesteśmy tacy szczęśliwi, że jest tu dzisiaj z nami - powiedziała

Gillie i rzuciła w stronę Ryana kokieterijne, choć trochę bojaźliwe spojrzenie. - Nie macie pojęcia, ile musiałam się natrudzić, by namówić tego potwora do przyścia na bal.

Anna była absolutnie przekonana, że nie trzeba było żadnej namowy, by skłonić Ryana do przyścia na bal. Czy mężczyzna jego pokroju przepuściłby okazję bycia w centrum zainteresowania najlepszego towarzystwa jako specjalny gość balu, jako znakomitość fetowana i adorowana przez kobiety? Było bardziej prawdopodobne, że ociągał się, ponieważ chciał ugruntować o sobie opinię trudnego człowieka.

Reakcja Marca była zdawkowa.

- Cieszę się, że Gillie udało się w końcu pana namówić. Zapewne chciał pan być obecny na jednym z wydarzeń roku.

Anna bała się spojrzeć na Ryana po tej uwadze Marca, ale odpowiedział raczej spokojnie.

- Oczywiście, to znakomity powód.

- O, centrum dla młodzieży...

Marc nagle zamilkł. Po prostu zapomniał, z jakiego powodu Gillie zorganizowała ten bal. Grymas na twarzy Ryana świadczył, że dostrzegł potknięcie. Z pewnością zwrócił też uwagę, iż Marc dopiero w tym momencie przypomniał sobie o jej istnieniu.

- Anna, moja współniczka...

- Już się poznaliśmy - przerwał mu Ryan. Powiedział to tak niewinnym tonem, że nikt poza Anną nie mógł doszukać się w tym zwierzeniu żadnego podtekstu. Gdy Marc przedstawił ją jako współniczkę, a nie narzeczoną, Cassidy popatrzył na Annę wyzywająco, jakby jeszcze raz dając jej do zrozumienia, że podczas spotkania w ogrodzie chciała go oszukać. Marc patrzył na nią pytającym wzrokiem. -Ja...

- Spotkaliśmy się jakiś czas temu w ogrodzie - wyjaśnił Ryan, nie dając jej dojść do słowa. - Wtedy przedstawiliśmy się sobie.

Anna odniosła wrażenie, że nie zamierza powiedzieć już nic więcej. Poczła ulgę, ale nie na długo, bo po kolejnej pauzie zaczął ponownie:

- Miałem z pańską współpracowniczką interesującą rozmowę...

- Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza - przerwała mu gwałtownie Anna. Chciała uprzedzić pytanie Marca, o jaką to interesującą rozmowę chodzi. Wciąż patrzył na nią pytająco, co zbiło ją z tropu. Nie była w stanie wydobyć z siebie już ani słowa. Ku jej przerażeniu Ryan uzupełnił to wyjaśnienie.

- Ja również pragnęłam ciszy i spokoju. Świadomość, iż jest w potrzasku, obezwładniła Annę. Poczła się tak osłabiona, że musiała oprzeć się o ścianę. Z wyrazu twarzy Ryana wyczytała, że nie zamierza już dłużej dręczyć jej swoimi wynurzeniami.

Po raz pierwszy odczuła na własnej skórze, co to znaczy bawić się z kimś w kotka i myszkę.

- Ciszy i spokoju?! - odezwała się nagle Gillie tonem, z którego wynikało, że nie wierzy w ani jedno słowo Ryana. - Chyba raczysz żartować! Przecież dopiero przyszedłeś, tak bardzo spóźniony - dodała poklepując go poufale po ramieniu. - Nie zdążyłeś się jeszcze zmęczyć, by pragnąć ciszy i spokoju.

- Nie jestem maskotką tego balu - zareagował na gest tonem, w którym nie było śladu wcześniejszej uprzejmości.

Anna, wdzięczna Gillie, że wybawiła ją z kłopotliwej sytuacji, była zdziwiona swoim odkryciem, że Ryan naprawdę mówi to, co myśli. On nie grał i nie tworzył w sposób zamierzony obrazu samego siebie dla innych. Popatrzyła na niego innymi oczami, bo dobrze pamiętała, z jakim trudem nauczyła się radzić sobie z takimi zgromadzeniami. Szukała na jego twarzy jakiegoś znaku, że ujmujące maniery były tylko maską skrywającą zupełnie inną osobę.

- Gillie, przyszedłem tu po to, by wspomóc twoją akcję dobroczynną - ciągnął już z uśmiechem. - A poza tym nie miałem żadnych szans wobec twojej zdolności perswazji.

Gdy to mówił patrzył na Gillie swoimi niezwykłymi oczyma w taki sposób, jakby dla niego liczyła się tu tylko ona. Osiągnął to, czego chciał, pomyślała Anna widząc, jak Gillie oblewa się rumieńcem i szepcze coś bez ładu i składu. Oburzona uznała, że przez cały czas prowadził na jej oczach grę z inną kobietą, którą z wyrachowaniem manipulował.

- Pora wracać do oficjalnych obowiązków - odezwała się Gillie głosem, w którym dźwięczała jeszcze nutka podniecenia wywołanego zachowaniem Ryana. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będzie wiadomo, kto zdobył główną wygraną, coś naprawdę ekstra. Ryan, wracamy, bo i ty musisz przystąpić do pełnienia swoich honorów.

- Tak oto poznaliśmy sławnego Picassa z ciemnej uliczki, ulubieńca naszej Gillie - skwitował Marc spotkanie z Ryanem. - Wprawdzie niezupełnie wygląda na prostaka, ale jego kostium może wprowadzić w błąd. Należałoby zobaczyć go w normalnym życiu, by przekonać się, kim jest naprawdę.

Anna właśnie sobie przypominała, w jaki sposób Marc zetknął się już z Ryanem w normalnym życiu i jak na niego zareagował. Mogła być tylko wdzięczna losowi, że panujący wówczas na parkingu mrok uniemożliwił mu zobaczenie twarzy Cassidy'ego. Wbrew woli nie mogła teraz oderwać oczu od tego wysokiego, smagłego mężczyzny, stojącego wraz z Gillie przy wielkim stole z fantami. W rześkiej oświetlonej sali balowej wyglądał na jeszcze groźniejszego zawiadaka i Annę ponownie ogarnął strach. Zrozpaczona zastanawiała się, czy Ryan bawi się nią w tak zblazowany i sadystyczny sposób tylko dziś, korzystając z nadarzającej się okazji, czy też zamierza robić to dalej? Czy po skończeniu balu zostawi ją w spokoju, czy będzie jej szukał, żądając czegoś w zamian za milczenie na temat jej przeszłości?

- Zaczynamy...



Cassidy wyciągnął pierwszą karteczkę z numerem i podał Gillie, by go odczytała. Anna zauważyła, że jest swobodny i zupełnie nie speszony takim wyszukany i bogatym towarzystwem, jakie zaszczyciło bal. Jednak po pewnym czasie stwierdziła, że czuje się tu nieswojo. Tak czuła się ona na początku swojej znajomości z Sonią i Markiem, ale Cassidy nie próbował, w przeciwieństwie do niej, ukryć niczego ze swojej przeszłości, o czym świadczył artykuł w ilustrowanym magazynie, który pokazała jej Sonia. Gdyby Anna postąpiła tak samo, nie byłaby teraz w tak trudnej sytuacji. Ryan nie obawiał się niczego ze strony tych, którzy znali całą prawdę o jego życiu, bo nigdy nie przywiązywał wagi do opinii na własny temat.

Widząc z jaką swobodą i wdziękiem wręcza wylosowane na loterii fanty, Anna nie mogła się nadziwić, że jeden z tych okropnych chłopaków Cassidy'ego, jak nazywał jej ojciec Ryana i Rory'ego, zyskał taką ogładę i prezencję. Widać było, że znakomicie wkomponował się w towarzyską śmietankę Londynu. Anna jednak wciąż dostrzegała w nim coś z tego mężczyzny, którego знаła przed laty, jego hardość i nieustępliwość, to, co najlepiej wyraża powiedzenie - bierz mnie takim, jakim jestem, albo idź do diabła. I wciąż bała się go tak, że gotowa była uciec stąd i ukryć się gdzieś daleko.

- O, nie ma posiadacza losu, którego numer właśnie odczytano - wyrwał ją z ponurego zamyślenia niezadowolony głos Soni.

Patrząc na Ryana zastanawiała się, co też powiedziałyby jego ojciec na widok kostiumu dandysa z okresu regencji. Dostała gęsiej skórki na samą myśl, że Lawrence Cassidy wpadłby prawdopodobnie w furję, gdyby zobaczył swojego syna w ozdobnym krawacie i aksamitnym surducie. Zawsze chciał, by wygląd i zachowanie jego synów odpowiadały jego wyobrażeniu prawdziwego mężczyzny. Pewnie dlatego patrzył przez palce na chuligańskie wybryki Rory'ego, a dostał ataku wściekłości, gdy odkrył, że Ryan uczęszcza na wieczorowy kurs malarstwa. Dla Lawrence'a Cassidy'ego oznaczało to uczenie się zawodu, który jemu kojarzył się wyłącznie ze słabeuszością i zniewieściałością.

Anna była świadkiem awantury, jaką urządził Ryanowi ojciec, gdy zorientował się, że syn zamierza zostać artystą. Miała wtedy szesnaście lat i właśnie przyszła do ich domu, by zapytać panią Cassidy, kiedy Larry przyjedzie na urlop. Zobaczyła, że starszy pan jest purpurowy ze złości i miota w Ryana przekleństwami, a syn stoi z pobladłą i niemą twarzą. Dzielił ich stół, na którym znajdowały się przybory malarskie Ryana i jego prace. Ryan kupił sobie wszystko za własne, ciężko zapracowane pieniądze, ale dla jego ojca ważne było tylko to, że sprzeciwił się jego woli. Anna znieruchomiała przy drzwiach, kiedy zobaczyła, jak starszy pan zgarnia wszystko ze stołu i ciska do płonącego w kominku ognia. Z przerażeniem pomyślała wtedy, że Ryan rzuci się na ojca. Była przyzwyczajona do widoku rodzinnych bójek, które często zdarzały się na ulicy podczas weekendów. Ale Ryan patrzył tylko z kamienną twarzą w płonący ogień, a gdy już wszystko się spaliło, bez słowa wybiegł z domu.

Anna wybiegła za nim. Bardzo mu współczuła i gdy go dogoniła, poprosiła, by się zatrzymał. Chwyciła go za ramię, a on odwróciwszy się zapytał napastliwym tonem:

- Czego chcesz, do diabła?

- Chciałam tylko powiedzieć, że jest mi tak przykro. Wiem, co czujesz...

- Ty wiesz? - spytał z sarkazmem i zaśmiał się tak, że przeszły ją ciarki.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Przecież dla ciebie istnieję tylko jako brat Larry'ego. Ty i twój ojciec uważacie, że nie powinienem oddychać tym samym powietrzem co wy, a ty mówisz, że wiesz, co ja czuję!

- Masz moją sympatię...

- Sympatię! - Ryan wyrzucił z siebie to słowo jakby wypluwał coś ohydneho. - Wypchaj się tą twoją cholerną sympatią, bo to ostatnia rzecz, jakiej od ciebie chcę, panno Miller, która tak zadzieraszą nosa!

Wyrwał ramię z jej uścisku i odszedł, a ona poczuła do niego złość. Pomyślała, że w głębi duszy Ryan wcale nie jest lepszy od swojego ojca,

zjadliwy i okrutny, niezdolny dostrzec piękniejszej i bardziej subtelnej strony życia. Właśnie wtedy zdecydowała, że pewnego dnia wyprowadzi się z Empire Street, pozostawiając jej plugastwo i ohydę wszystkim Cassidym tego świata, a wraz z tym swoją wśród nich samotność. I kiedy ten dzień nadszedł, nigdy już nie patrzyła wstecz na swoje życie.

Podeksycytowany głos młodej kobiety, która podbiegała do podium, trzymając w podniesionej dłoni los, przywrócił Annę do rzeczywistości. Gdy zobaczyła, w jaki sposób Ryan wręcza jej wygrany przedmiot i jak szarmancko całuje ją w rękę, poczuła się nieswojo. Przypomniała sobie, jak ją samą całował i pieścił, jak kochał się z nią przed wieloma laty, a potem zostawił. Wciąż cierpiała na myśl, że ją wtedy po prostu wykorzystał.

Tego wieczoru, kiedy pokłócił się z ojcem, Ryan wyjechał z Forgeley. Rodzice nie mieli pojęcia, dokąd się udał, choć Larry z pewnością wiedział i może poinformował matkę. Oczywiście Anna nigdy o niego nie pytała, a po tym, jak odrzucił jej sympatię, wymazała go z pamięci. Była bardzo zajęta własnymi sprawami. Skończyła szkołę i poszła do college'u, gdzie uczyła się kosmetyki. Spotykała się tylko z Larrym. On, w przeciwieństwie do jego gburowatych i porywczych braci, traktował ją jak oddany przyjaciel, lecz teraz, gdy dorosła, musiał zacząć patrzeć na nią inaczej. Po śmierci ojca był jedyną osobą, której ufała, ale widywali się bardzo rzadko, od kiedy Larry zaczął służyć w Belfaście. Mieszkała teraz sama przy Empire Street i musiała tam żyć przynajmniej do czasu ukończenia college'u. Bez ojca wszystko wydawało się jej tu okropne i przerażające. Podtrzymywało ją na duchu tylko to, że został jej jeszcze jeden rok nauki i że latem, po egzaminach, uwolni się od Empire Street i wszystkiego, co się z tym wiązało. Uczyła się jeszcze pilniej niż zwykle i zdała znakomicie końcowe egzaminy. Ale ten ostatni dzień w college'u, kiedy czuła się taka szczęśliwa, okazał się tragiczny. Właśnie nadeszła wiadomość o śmierci Larry'ego. Został wciągnięty w zasadzkę i zabity w pobliżu granicy z Irlandią. Na jego pogrzebie Anna ponownie spotkała Ryana.

- Anno! - podniecony głos Soni wyrwał ją z przykrewnej zadumy. Poczula się jak ktoś nagle obudzony z głębokiego snu. - Wywołują numer czterdziesty ósmy, twój numer! - Wyciągnęła los z jej bezwładnych dłoni i pomachała nim. - Idź odebrać wygraną! - ponaglała przyjaciółkę.

Nie! Już miała odmówić, ale spostrzegła, jak Marc ściąga brwi. Znienawidziłby ją, gdyby na oczach wszystkich zrezygnowała. Byłby to rodzaj zachowania, którego on po prostu nie tolerował. Opamiętała się w końcu. Pomyślała, że prezentacja osoby odbierającej wygraną trwa bardzo krótko. Musi tylko uważać, by strach i obrzydzenie nie były widoczne na twarzy, choć jeśli Ryan ośmieli się ją pocałować, natychmiast przywoła go do porządku, bez względu na reakcję Marca.

Kiedy stanęła na podium, odetchnęła z ulgą, bo podeszła do niej Gillie, by pogratulować wygranej. Gospodyni balu trzymała w ręku szarą kopertę z widniejącym na niej dużym, czerwonym znakiem zapytania, tę, na którą Anna zwróciła już wcześniej uwagę i która wydawała się jej taka brzydka wśród leżących na stole przedmiotów. Pomyślała, że przypadek jej w udziale jakiś drobiazg, ale stół był już pusty i w kopercie znajdowała się główna wygrana. Mimo woli popatrzyła na Cassidy'ego, który odwzajemnił to spojrzenie szerokim uśmiechem, co zgromadzeni odebrali na pewno jako wyraz gorącego uznania dla wybranki losu. Ale Anna stała zbyt blisko niego, by nie zauważyć błysku triumfu w jego oczach i sposobu, w jaki taksował ją wzrokiem, od góry do dołu, metodycznie i z uznaniem. To spojrzenie było tak przenikliwe i zmysłowe, że nagle poczuła się tak, jakby nie miała już na sobie ani białej sukni, ani zwiewnego szala wokół szyi. Mimo ciepła panującego w sali balowej było jej zimno ze strachu. Błagała los, by jej rumieńce wzięte zostały za oznakę podniecenia z powodu wygranej.

- Gratuluję! - Gillie uścisnęła Annę i wsunęła kopertę w jej roztrzęsione dłonie. - Masz wielkie szczęście! Otwórz ją.

Wyjęła z koperty pięknie wydrukowany bilet wizytowy, ale gdy przebiegła go wzrokiem, doznała szoku. Poczula się tak, jakby widniejące na wizytówce nazwisko oderwało się od reszty tekstu i uderzyło ją w

twarz. Zawirowało jej w głowie. To nie mogła być prawda! Boże, niech będzie to tylko sen, modliła się. Ale gdy jeszcze raz przeczytała uważnie cały tekst, nie miała już żadnych złudzeń, że to była prawda. Pokusa podarcia biletu wizytowego na strzępy zawładnęła nią niemal całkowicie, gdy nagle dotarły do niej odgłosy zniecierpliwienia zgromadzonych w sali balowej gości.

- Co jest w tej kopercie? - zapytał ktoś głośno, ale Anna nie miała siły odpowiedzieć.

Poznała wreszcie powód triumfalnego uśmiechu Ryana. Jak przez mgłę zobaczyła, że Gillie zdążyła w jej kierunku.

- Panie i panowie! Anna jest oczywiście zbyt oszołomiona szczęściem, które ją spotkało, by móc wam powiedzieć, jaka jest główna wygrana. Może będzie lepiej, gdy ja to zrobię. Jestem pewna, że znakomicie zrozumiecie jej wzruszenie. Naszą główną wygraną zawdzięczamy wspaniałomyślności człowieka, któremu składamy najgorętsze podziękowania. Ofiarował swój czas i talent, by wygrana ta była naprawdę czymś wyjątkowym. Anna będzie miała portret namalowany przez samego Ryana Cassidy'ego!

- Najlepiej zrobisz, jeśli się uśmiechniesz - dobiegł ją niski głos, w którym dzwięczała nutka cynicznego rozbawienia i Anna poczuła znowu strach. - Twój współnik jest oczywiście bardzo zadowolony.

Histerycznym gestem ścisnęła pięknie wykaligrafowane zaproszenie i popatrzyła na Marca. Na jego twarzy rzeczywiście widniał szeroki uśmiech, a William gratulował mu w taki sposób, jakby to Marc zdobył główną wygraną. Poczuli się straszliwie zagubiona i przypomniała sobie błysk chciwości w oczach Marca, gdy zagadnął ją, czy kupiła losy. Ze ściśniętym sercem uświadomiła sobie, że nigdy by jej nie zrozumiał, gdyby postanowiła nie przyjąć wygranej. Wszystko sprzyjało Ryanowi Cassidy'emu, a jeśli on sam wymyślił tę wygraną, by móc ją dalej dręczyć, to zrobił to znakomicie.

- Nie przyjmę tej wygranej! Nie przyjmę! - wyszeptała bezwiednie.

- Obawiam się, że będziesz musiała - w jedwabistym tonie jego głosu  
czaiła się groźba. - Bo co pomyśli twój drogocenny pan Denton? Chyba  
nie chcesz, by zaczął podejrzewać, że odmawiasz z jakiegoś tajemniczego  
powodu?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Czuła strach, jak ktoś schwytyany w  
pułapkę, z której nie ma ucieczki.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Anna wyprostowała się, poprawiła sukienkę, wzięła głęboki oddech i zadzwoniła do drzwi mieszkania Ryana Cassidy'ego. W tej samej chwili miała ochotę uciec. Co ja tu robię? Jak dałam się na to namówić? Musiała jednak spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie uczciwie, że nie miała wyboru.

Serce jej załomotało, gdy przez szybę w drzwiach zobaczyła wysokiego, smagłego mężczyznę, który właśnie schodził po schodach. Na balu łudziła się, że Ryan nie zamierza dręczyć jej dłużej niż tego jednego wieczoru, ale po głównej wygranej musiała przyjąć do wiadomości, że jest zdana na łaskę kogoś, kto sam zdecyduje, ile godzin z nim spędzi sam na sam. To było dla niej straszne.

- Jednak przysłaś?

Zamyślona nie zauważyła nawet, że drzwi się otworzyły i Ryan wyrósł przed nią nagle, wysoki i świetnie zbudowany, jeszcze bardziej niepokojący w podkoszulku i dżinsach niż w stroju dandysa z okresu regencji. W miejsce zawadiaki z dziewiętnastowiecznych romansów pojawił się mężczyzna z krwi i kości. Była pewna, że ten Ryan nigdy nie zostawi jej w spokoju. Czas spędzony z nim w ogrodzie wydawał się teraz czystą fantazją, podczas gdy obraz mężczyzny, jakiego miała przed sobą, był niczym sen, z którego nie mogła się obudzić.

- Myślałeś, że nie przyjdę? - odpowiedziała podniesionym głosem, ale był to raczej skutek jej zmieszania niż świadomej decyzji.

Ryan uśmiechnął się ironicznie, a w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

- Muszę ci wyznać, że gdy wyobrażałem sobie kogoś, kto zdobędzie główną wygraną, nawet przez myśl mi nie przeszło, że będzie on niczym upiór, który nagle powraca z przeszłości, by straszyć.

- Czego się więc spodziewałeś? - zapytała bardziej już opanowanym głosem. - Pewnie myślałeś, że jeśli wygraną zdobędzie kobieta, to dozna wstrząsu na myśl, że spędzi jakiś czas sam na sam z najbardziej seksownym mężczyzną świata artystycznego - wypaliła, cytując artykuł o Ryaniu, który pokazała jej Sonia.

-Wprost przeciwnie, sądziłem, że temu komuś, mężczyźnie czy kobiecie, pochlebi możliwość otrzymania arcydzieła Ryana Cassidy'ego - powiedział prześmiewczym tonem, cytując ten sam artykuł i dla Anny stało się jasne, że Ryanowi nie podoba się przesada, z jaką został napisany. - Oczywiście za darmo. I z pewnością twój przyjaciel, pan Denton, jest zachwycony taką inwestycją.

Tego właśnie argumentu użył Marc, by nakłonić ją do przyjścia tutaj, pomyślała Anna, poirytowana, że Ryan tak bezbłędnie wyczuł to, co ją martwiło. Nie odważyła się powiedzieć Marcowi, że absolutnie nie chce, by Cassidy namalował jej portret, ponieważ obawiała się, że wzbudzi to jego podejrzania. Powiedziała tylko, że nie jest przekonana do samej idei. Marc nie potrafił tego pojąć i nakłaniając ją, by nie rezygnowała z portretu, odwołał się do finansowego aspektu całej sprawy jako do głównego argumentu.

- Nie masz prawa tak mówić, przecież w ogóle nie znasz Marca! - powiedziała z goryczą.

Jakże pragnęła, by Marc użył innych argumentów, by odwołał się do artystycznej wartości dzieł Ryana lub wyraził życzenie posiadania portretu, który ukazuje jej urodę. Mogłaby wtedy rzucić je Ryanowi w twarz, zaprzeczając jego posądzeniom o kierowanie się pobudkami materialnymi.

- Rzeczywiście go nie znam - zgodził się Ryan. - Ale czy to, że kogoś nie znałaś, powstrzymało cię w przeszłości od oceniania go?

Anna nie rozumiała o co mu chodzi. Była zbyt zdenerwowana, by teraz zastanawiać się nad tym.



- Wejdiesz? - Ryan wykonał zapraszający gest.

- Wydawało mi się, że nigdy o to nie poprosisz - odparła dziecinnie rozdrażnionym i ponurym głosem.

- Musimy, niestety, wspiąć się na samą górę. Prowadził, przeskakując po dwa stopnie. Anna, w butach na wysokich obcasach, musiała się bardzo starać, by za nim nadążyć.

- Wybrałem to pomieszczenie głównie ze względu na światło. Oto jesteśmy. - Otworzył drzwi. - Czuj się jak w domu.

Gdy weszła, zrozumiała, co miał na myśli mówiąc, że wybrał to pomieszczenie ze względu na światło. Wcześniej musiał być tu strychniczka, który ktoś wspaniale przebudował i powiększył. Jedna ze ścian, którą niemal w całości stanowiły okna, dawała poczucie, że człowiek znajduje się w otwartej przestrzeni.

- Jak tu cudownie!

Przez chwilę krążyła po pokoju. Zauważyła, że wrażenie, iż tonie on w świetle, wynika również ze sposobu jego urządzenia. Widać było, że ta wielka przestrzeń powstała dzięki wyburzeniu muru dzielącego odrębne pomieszczenia. Ściany pomalowane były delikatną kremową farbą, co podtrzymywało wrażenie jasności, ale, w przeciwieństwie do czystej bieli, dawało także poczucie ciepła. Lśniącą sosnową podłogę tylko częściowo pokrywał kremowo-zielony dywan w pobliżu kominka, a wokół ustawione były trzy miękkie kanapy w identycznym zielonym kolorze. Ku zdumieniu Anny wisiał tu tylko jeden wielki obraz, który przedstawiał krajobraz. Ostra zieleń drzew i złocista szachownica pół podkreślały subtelność barw samego pokoju.

- Jakie wspaniałe mieszkanie! Jesteś szczęśliwcem.

Nie potrafiła wyzbyć się nutki zazdrości. Rozpoczynając samodzielne życie w Londynie, była zaledwie piastunką do dzieci. Zastanawiała się, jak do tego doszło, że Ryan Cassidy z Empire Street w Forgeley zajmuje tak niezwykle mieszkanie w Londynie. Przypominając sobie mieszkanie

Cassidy, nie mogła się nadziwić elegancji, wyszukanej prostocie i niezwykłemu czarowi tego wnętrza.

- Jak zdobyłeś to mieszkanie? Czy wynajmujesz je od kogoś, kto mieszka za granicą lub coś w tym rodzaju?

- Jest moje - odpowiedział szorstko, a grymas jego ust powiedział Annie, że przeniknął jej myśli, co wprawiło ją w zakłopotanie. - Coś się nie zgadza, panno Miller? -ciągnął z ironią. - Zupełnie się tego nie spodziewałaś po jednym z tych okropnych Cassidych?

-Ja...

Nie potrafiła mu od razu odpowiedzieć. Zastanawiała się przez chwilę, co ją tak zaskoczyło. Musiała przecież uczciwie przyznać, że był artystą, na dodatek wyjątkowo utalentowanym. I czy wszystko, co kiedykolwiek o nim słyszała, nie świadczyło o tym, że rzeczywiście sam, o własnych siłach, jak mówiła Sonia, osiągnął tak wysoką pozycję, pozostawiając daleko za sobą, jak ona, Empire Street? Było to możliwe, bo nie gardził również zwykłą, ciężką pracą.

- Po prostu...

Wciąż szukała jakiegoś przekonywającego wyjaśnienia, bo wiedziała, że irytacja Ryana była w pełni uzasadniona. Myśląc o Empire Street i parszywym domu jego rodziców, czuła się winna, że nie potrafi patrzeć na niego bez uprzedzeń.

- Nie przypuszczałam, że kupiłeś mieszkanie w Londynie. Z twoich wypowiedzi, które przytaczano w tym artykule, wynikało, że twój dom jest na północy i że nigdy nie chciałeś stamtąd wyjeżdżać.

Gdy tylko wymówiła słowo dom, poczuła smutek, a w jej myślach pojawił się właśnie dom Cassidych. Na pewno wyglądał obskurnie, ale był to prawdziwy dom, przynajmniej wtedy, gdy byli w nim Larry i pani Cassidy, podczas gdy jej dom stanowił zaledwie miejsce, w którym ona i jej ojciec byli zmuszeni żyć. Edward Miller w ogóle nie zajmował się

domem, bo, jak mówił, nie było to warte jego uwagi. Przebywał w nim nie dłużej, niż było to konieczne.

- To prawda, mój dom jest na północy - przyznał Ryan spokojniejszym tonem, co upewniło ją, że ugłaskała go przynajmniej na chwilę. - Wolałbym mieszkać stale w Yorkshire, ale z powodu pracy muszę bywać w Londynie.

Wskazał dłonią drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do pracowni, co przypomniało jej powód wizyty. Skierowała tam swoje kroki.

- Jeszcze nie teraz - powiedział łagodnie. - Zanim przystąpię do pracy, lubię porozmawiać z ludźmi, których mam portretować, by dowiedzieć się czegoś o nich i zobaczyć ich twarze poddane różnym nastrojom. - Zrobię kawę i jeszcze porozmawiamy?

- Nie mam wiele czasu - rzuciła w odpowiedzi. Anna była podenerwowana uwagą Ryana. Przyszła tu z wielkimi oporami, by pozować do portretu i nie brała pod uwagę żadnej szczerzej rozmowy.

- Ile czasu może zająć wypicie kawy? - W jego głosie znowu pojawił się ironiczny ton. - Wszystko przygotowane, więc usiądź wygodnie...

Mówiąc to szedł już w stronę otwartych drzwi kuchni, nie dając jej wyboru. Właśnie zamierzała usiąść na kanapie, gdy spośród poduszek podniósł się duży, biało-rudy kot i przywitał ją miauknięciem. Anna zaczęła go głaskać.

- Zostałaś wyróżniona - powiedział Ryan, gdy wrócił z kawą i zobaczył, jak kot mości się na kolanach Anny. - Redford zwykle stroni od obcych.

- Redford? - zdziwiła się. - To jego imię? Ryan skinął głową i uśmiechnął się szelmowsko.

- Maeve tak go nazwała. Znalazłem go koło mojego domu w Yorkshire. Miał wtedy niebieskie oczy i rudawe futerko. Dlatego skojarzył się Maeve z Robertem Redfordem.

Anna była ciekawa, kto to jest Maeve, gdzie ją poznał i co ich łączyło. Sądząc z ciepłego głosu, jakim wymawiał jej imię, ich związek był bliski. Nie odważyła się jednak spytać.

- Twój kot nie ma nic przeciwko mnie, bo chyba lubi towarzystwo - powiedziała tylko.

- Czuje się chyba osamotniony - zawtórował jej Ryan. - W tym tygodniu prawie nie było mnie w domu. A poza tym prawdopodobnie brakuje mu, tak jak mnie, Yorkshire. Jest prawdziwym kocurem-włóczęgą. Potrzebuje swobody w ogrodzie, a nie zamknięcia w takim mieszkaniu jak to.

Zupełnie tak samo jak jego pan, pomyślała Anna. Gdy jednak uświadomiła sobie, że zanadto interesuje ją możliwe podobieństwo pewnych cech Ryana i jego ukochanego kota, zwłaszcza gdy idzie o nieposkromiony apetyt seksualny typowy dla kocurów-włóczęgów, szybko skierowała rozmowę na inne tory.

- To dlaczego zabrałeś go tu ze sobą? Z pewnością byłby szczęśliwszy w Yorkshire, jeśli oczywiście ktoś mógłby się tam nim zaopiekować.

Może ktoś taki jak Maeve, przyszło jej nagle do głowy, a myśl ta, ku jej zaskoczeniu, ukłuła ją niczym szpilka. Poruszyła się tak gwałtownie, że zaskoczony Redford wczepił się pazurami w jej sukienkę.

- Próbowałem go zostawić, ale w końcu skapitulowałem, bo gdy wyjeżdżałem, ten szalenciec przestawał jeść. Usychał z tęsknoty. Mleko? Cukier?

- Tylko mleko. Dziękuję.

Wydawało się jej niewiarygodne, że ten porywczy i nieustępliwy mężczyzna ma tyle czułości dla biało-rudego kłębka futra na jej kolanach,

że zostawia swoją pracę i jedzie setki kilometrów tylko dlatego, że jego pieszczołch czuje się nieszczęśliwy. To niespodziewane odkrycie sprawiło, że poczuła jakieś dziwne ciepło. Pomyślała, że Marc nigdy by czegoś takiego nie zrobił, nawet dla niej.

- Powiedz mi coś o sobie. Marcus Denton przedstawił cię jako współpracowniczkę.

Ryan siedział na wprost niej na kanapie. Swobodnie oparty był gotów rozpocząć poznanie jej, czego tak się obawiała. Rozmawiając o pracy, Anna poczuła się bezpieczna. W ten sposób omijali sprawy osobiste, straszliwą przeszłość i w ogóle wszystko, co zniszczyło jej życie. Nie wiedziała jednak, jak to długo potrwa, bo czuła na całym ciele jakieś bolesne ukłucia. Poza tym chciała jak najszybciej dowiedzieć się, czym Ryan zamierza ją szantażować.

- Myślę, że lepiej byłoby powiedzieć, że on promuje moje produkty. Ja...

Zamarła, gdy spostrzegła, że rozmówca chwyta za papier i ołówek i zaczyna szkicować jej twarz szybkimi, pewnymi ruchami ręki.

- Czy musisz to robić teraz? - zapytała ostro.

- Nie denerwuj się - odpowiedział łagodnie, nie przerywając rysowania. - To tylko kilka przypadkowych szkiców. Nie myśl o tym.

Nie myśleć o tym! Spostrzegła, że Ryan przeszywa ją wzrokiem, zanim postawi kreskę. Była tak zdenerwowana, że delikatne pociągnięcia ołówka wydały się jej nienaturalnie głośne.

- Odpręż się - powiedział ciepło Ryan. - A więc Denton promuje twoje produkty? W jakiej branży? W jaki sposób?

- Zajmuję się produkcją kosmetyków z surowców naturalnych i pielęgnacją skóry. Interesuję się tym od dawna, a kilka lat temu zaczęłam robić takie kosmetyki dla siebie. Ale początki były bardzo skromne. Po

prostu klienci salonu kosmetycznego, którym kierowałam, wypróbowywali moje kremy, i w ten sposób stały się bardzo popularne...

Mówiąc o swojej pracy Anna odprężyła się. Ryan wciąż obrzucał ją szybkimi, badawczymi spojrzeniami, ale, ku jej zaskoczeniu, nie wprawiały ją już w zakłopotanie. Potrafił równocześnie słuchać jej z uwagą i dokładnie obserwować.

- Doszło w końcu do tego, że pracując sama nie byłam w stanie sprostać zamówieniom. Zatrudniłam kilku pracowników i dalej kierowałam salonem, by mieć dość pieniędzy, zanim biznes nie rozkręci się w pełni. Wtedy właśnie poznałam Sonię, a przez nią Marca. Czy coś się stało?

Ryan nagle przestał rysować i spoglądał na swój szkicownik z niezadowoloną miną. W reakcji na jej pytanie podniósł wzrok, a jego chabrowe oczy dziwnie pociemniały i zwięzły się w przypływie jakiegoś uczucia, którego Anna nie potrafiła odgadnąć. Potrząsnął przecząco głową, jakby równocześnie reagując w ten sposób na jej pytanie i na nastrój, który go opanował.

- Nie, nic się nie stało. Przepraszam... - mówiąc to wyrwał ze szkicownika kartkę z rysunkiem i cisnął ją w kąt zniecierpliwionym gestem. - Mów dalej. Słucham.

Anna zaczęła się zastanawiać, czy zainteresowanie jej życiem było tylko sposobem poznania jej jako kogoś, kto pozuje do portretu, czy też chciał się dowiedzieć czegoś więcej o jej związku z Markiem, by móc ją szantażować. Ale było coś jeszcze. Czuła fizyczność własnego ciała i fizyczną obecność mężczyzny, który siedział naprzeciw niej w rozleniwionej pozie, choć nieustannie rzucał w jej kierunku spojrzenia i poruszał dłońią, szkicując pospiesznie.

- Poznałaś Sonię i... - przypomniał jej przerwany tok rozmowy.

- Tak. Była moją klientką. Kupowała niektóre z moich kremów. Uwielbia je. Przedstawiła mnie swojemu bratu i zaprzyjaźniliśmy się z

Markiem. Od tego czasu jesteśmy stale razem - powiedziała, przypominając sobie, że w ogrodzie podczas balu dała do zrozumienia Ryanowi, że Marc jest jej narzeczonym.

Tym razem nie zrobił żadnej złośliwej uwagi, co ją zaskoczyło. Zdawał się być pochłonięty rysowaniem.

- Marc zachęcił mnie do działania na własną rękę. Pożyczył mi pieniądze, bym mogła otworzyć pierwszy sklep. Dług spłaciłam już w ciągu pierwszego roku działalności.

W głosie Anny dźwięczała duma, której wcale nie próbowała ukryć i poczuła radość, gdy dostrzegła, że Ryan patrzy na nią z podziwem.

- Następnie Marc zainwestował w ten biznes więcej pieniędzy, a ja wniosłam swoją wiedzę o produkcji kosmetyków. Kilka tygodni temu zdecydowaliśmy, że zostajemy współnikami. Mamy dziesięć sklepów, trzy w Londynie, a pozostałe na południu...

Anna przerwała. W zachowaniu Ryana nagle zaczęło się coś zmieniać, choć na pozór wszystko było w porządku. Wciąż siedział w swobodnej pozie i wciąż rysował, ale w spojrzeniu, jakim ją obrzucił, było coś niepokojącego. Znowu zmarszczył brwi. Dziewczyna czuła się coraz bardziej zdenerwowana, gdy zobaczyła, że utkwiał wzrok w szkicowniku, a ołówek w jego dłoni znieruchomiał.

- Wkrótce spodziewam się... spodziewamy się otworzyć następne sklepy - dukąła, by jakoś wypełnić nieprzyjemną ciszę. - Marc jest zdania, że...

Gwałtowne przekleństwo Ryana zamknęło jej usta i przeraziło, zanim jakiś szósty zmysł nie podpowiedział jej, co się naprawdę stało. Kruche zawieszenie broni, jakie zawarli, zostało zerwane. Ryan Cassidy, artysta, który twierdził, że po prostu chce ją poznać, zniknął, a na jego miejsce pojawił się ktoś, kto kiedyś tak boleśnie ją zranił, ktoś, kto mógł zniszczyć jej obecne życie, mówiąc Marcowi o jej przeszłości. Teraz była pewna, że Ryan w końcu powie, jaka jest cena jego milczenia.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Gdy powiedziałem, że chcę z tobą porozmawiać - mówił Ryan szorstko - to znaczyło, że zależy mi na poznaniu ciebie, Anno-Luizo, a nie kogoś, kogo ukształtował Marc Denton!

Była w tym ironia losu, myślała przerażona Anna, że przez wszystkie te lata, kiedy mieszkała przy Empire Street, tylko Ryan Cassidy używał, poza ojcem, dwóch jej imion. I zwykle wymawiał je, podobnie jak teraz, pełnym agresji tonem.

- Mam na imię Anna.

- O tak, dla twojego współnika i londyńskich przyjaciół jesteś Anną, ale dla mnie, moje śliczności, byłaś zawsze Anną-Luizą.

- Nie nazywaj mnie tak! - zaczęła krzyczeć i, nie zważając na pisk Redforda, zerwała się na równe nogi, tak że kot wylądował na podłodze.  
- Nie jestem twoją... zabawką! - dokończyła z trudem.

W odpowiedzi usłyszała po raz nie wiadomo który cyniczny śmiech.

- Nie zmieniałaś się ani na jotę. Jesteś lepiej ubrana, zmieniałaś fryzurę, masz przyjaciół wśród ludzi należących do śmietanki towarzyskiej Londynu, a nawet próbowałaś pozbyć się swojego północnego akcentu, ale jesteś wciąż tą samą lady Anną-Luizą.

- Co przez to rozumiesz?

Uwaga na temat akcentu ukłuła ją. Odczuła to jako bolesną ironię, że po tylu latach Ryan mógł powiedzieć, iż próbowała pozbyć się wymowy charakterystycznej dla północy kraju. A przecież w czasach, gdy mieszkała przy Empire Street, bardzo starała się mówić w sposób, jaki jej ojciec uważał za poprawny, chcąc zyskać jego pochwałę i zarabiając nagane, gdy tylko zauważył w jej głosie ślady północnego akcentu.



- Ty i twój ojciec uważaliście się za lepszych od nas wszystkich, moje śliczności. A ty wciąż tak sądzisz.

Było dla niej coś niesamowitego w tym, że Ryan jakby czytał w jej myślach.

- Teraz już wiem, dlaczego tak przerażało cię przyjście tutaj. Z pewnością myślałaś, że spotkanie z kimś pokroju Cassidych przynosi ci ujmę. Jestem więc ciekaw, po co w końcu przyszałaś? Czyżby Marcus Denton uznał, że obraz mojego pędzla ma zbyt wielką wartość, by z niego zrezygnować, że przewyższa ona cenę hańby, jaką płacisz spotykając się z prostytutką, z którym byłaś zmuszona dorastać?

- Nie bądź śmieszny! Nie myślisz chyba, że ja...

- Nie powiedziałaś mu o swojej przeszłości. To było bardzo nierozsądne.

- Tylko to zmusiło mnie do przyjścia tutaj...

Z pewnością wiedział, że nie byłaby teraz w jego mieszkaniu, gdyby nie jego groźba zdemaskowania jej w oczach Marca. Sądziła, że zrezygnowałaby z namalowania jej portretu, gdyby uznał, że Marc wie, gdzie dorastała. Ostatecznie, dla mężczyzny jego pokroju podniecająca mogła być tylko okrutna zabawa kosztem jej cierpienia. W pewnym sensie Annie wydało się, że Ryan chce jej dać jeszcze jedną szansę i czeka, by sama wyznała wszystko Marcowi. Nie zgadzało się to jednak z jej wiedzą o charakterze Cassidy'ego. Taki twardy, bezwzględny mężczyzna nie dałby nikomu następnej szansy.

Nagle dotarło do niej, że choć stoi od dobrej chwili, Ryan wciąż siedzi rozwalony na kanapie. Pomyślała, że z przyjemnością wyniosłaby się stąd natychmiast. Nie zrobiła tego tylko w obawie, iż mógł pomyśleć, że po prostu uciekła. A jej nagłe wyjście uzmysłowiłoby mu, jak bardzo boi się prawdy o swoim życiu w Forgeley.

- Usiądź, Anno-Luizo - powiedział spokojnie, lecz stanowczo.

- Będzie chyba lepiej, gdy już pójde - wyznała drżącym głosem.
- Usiądź! - powtórzył z naciskiem. - I ty, i ja potrzebujemy rozmowy.
- Nie mamy sobie nic do powiedzenia! - odparła Anna, z trudem wydobywając z siebie słowa. - Wiem dokładnie, do czego zmierzasz.
- Czyżby? - Z ironią uniósł brwi. - Potrafisz czytać w moich myślach?
- To nie ma nic do rzeczy! Jest przecież oczywiste, że Marc nic nie wie o moim życiu przy Empire Street i że jeśli się dowie, może to bardzo mi zaszkodzić w jego oczach.

Musiała brać pod uwagę taką reakcję Marca i była pewna, że gdyby próbowała zaprzeczać, Ryan by jej nie uwierzył.

- Zawsze pałałeś do mnie nienawiścią, więc chyba poczujesz wielką radość, wykorzystując to przeciwko mnie.

- Ja zawsze pałałem do ciebie nienawiścią? - spytał z wielkim zdziwieniem. - Nie masz żadnego pojęcia o moich uczuciach, śliczności. Pewne jest tylko to, że łączy nas piekło spraw, których nie wyjaśniliśmy sobie do tej pory.

- Nie ma takich spraw! - Już podnosiła się, by wyjść, ale ostrzegawcze spojrzenie chabrowych oczu sprawiło, że opadła z powrotem na kanapę czując, iż ma nogi jak z waty. - Nas nigdy nic nie łączyło! - powiedziała z naciskiem.

Ku jej zdumieniu i wściekłości Ryan znowu chwycił za ołówek i zaczął ją rysować.

- Ale raz coś wydarzyło się między nami - zaoponował jedwabistym tonem.

- I oczywiście powiesz o tym Marcowi! - Głos Anny się załamywał.

- Niekoniecznie...

Już nie panowała nad sobą. Od spotkania w ogrodzie podczas balu Ryan wciąż bawił się z nią w kotka i myszkę. Trzymał ją w niepewności, choć doskonale wiedział, że się bała. Była zła, że nie powiedział jej jeszcze, czego od niej żąda w zamian za milczenie.

- Czego ty ode mnie chcesz? - wydusiła w końcu z siebie.

Nie odpowiedział od razu i cisza, jaka zapadła po tym pytaniu wydała się Annie wiecznością, a jej napięcie sięgnęło zenitu. Powoli unióśł głowę znad szkicownika i uśmiechnął się z obłudną słodyczą.

- Chcę namalować twój portret.

- Ty? - Nie dowierzała własnym uszom. - Ty? Dlaczego?

Wyprostował się i lekceważąco wzruszył ramionami.

- To moja sprawa. Powiem ci tylko tyle, że mnie intrygujesz. Masz ten rodzaj twarzy, który chciałbym spróbować pokazać na płótnie. Moje najlepsze portrety powstają wtedy, gdy zjawia się ktoś, kogo naprawdę chcę namalować.

Anna zdawała sobie sprawę, że wpatruje się w niego z otwartymi ustami, niczym ryba wyjęta z wody. To było niemożliwe! Jak mogła uwierzyć, że on chciał tylko namalować jej portret?! Czy naprawdę mogło to być wszystko, czego od niej żądał?

- Jak możesz chcieć mnie malować, jeśli nawet mnie nie lubisz?

- A co ma jedno do drugiego? - Ponownie wzruszył ramionami. - Nie interesuje mnie przygoda, ani nawet przyjaźń, więc twój charakter nie ma znaczenia. Ja chcę malować twarz, a twoja twarz bardzo mi się podoba.

Te słowa sprawiły jej dziwną i niezrozumiałą przyjemność. Była zakłopotana, bo nagle oblała się rumieńcem. Zdawała sobie sprawę, że stwierdzenie Ryana nie było komplementem, a nawet brzmiało dwuznacznie. I mówiąc, że bardzo podoba mu się jej twarz, unieważniał

transakcję, jaką mieli zawrzeć, by nie opowiedział Marcowi o jej przeszłości.

- I znam cię.

- To nieprawda! Byliśmy ze sobą zaledwie raz, i to dawno temu. Od tego czasu bardzo wiele się zmieniło.

- Ale pewne rzeczy są wciąż takie same. Myślisz, że w ciągu tych ośmiu lat daleko odeszłaś od Anny-Luizy, ale w środku pozostałaś nią.

Anna zadrżała. Przynajmniej pod jednym względem była wciąż tą samą osobą, bo Ryan Cassidy był wciąż tym mężczyzną, którego bała się najbardziej.

- Ty przecież nie chcesz malować moich myśli!

- Nie... - zagadkowo mroczne spojrzenie niebieskich oczu znowu spoczęło na jej postaci. - Ale chcę namalować, jak te myśli wpływają na wyraz twojej twarzy.

Ryan mówił teraz łagodnie, niemal pieśczośliwie i Anna przypomniała sobie, jak przed chwilą, kiedy szkicował jej twarz, czuła swoje ciało, jego fizyczność i zmysłowość. Mogła oczywiście udawać przed sobą, że to nieprawda, ale mimo lęku, rozdrażnienia i nienawiści do tego mężczyzny, czuła to ponownie. Była wewnętrznie rozdarta. Obsesja ucieczki stąd i uwolnienia się od Ryana kłóciła się w niej z szalonym pragnieniem, by pozostać.

- Czy potrzeba namalowania mojego portretu wystarczy, byś pokonał niechęć do mnie? - zapytała go, by odwrócić uwagę od przeszłości.

- Powiedziałem ci już, że mnie intrygujesz i że osoba, którą portretuję, musi mnie interesować - odpowiedział i pytając uniósł brwi.

- A co byś zrobił, gdyby główna wygrana na loterii przypadła osobie, która cię nie interesuje? - zapytała, choć mówienie nie przychodziło jej łatwo, bo zmysłowość jego głosu rozpraszała ją.

- O, to delikatna sprawa.

Ku zaskoczeniu Anny Ryan nie zignorował jej pytania, choć przecież wiedział doskonale, że to tylko wybieg. Jego spojrzenie przesunęło się z jej twarzy na ołówek, a szkicownik spoczywał bezużytecznie na kolanach. W końcu jednak uniósł go, jakby zadawał pytanie Anny swoim dłońmi, próbując dociec, czy wykorzystałby artystyczny talent do namalowania kogoś obojętnego.

- Musiałbym namalować taką osobę, bo przyrzekłem Gillie moje dzieło jako wygraną. Z całego serca popieram jej projekt, ale... - rozłożył ręce i dokończył. - To nie byłby mój najlepszy portret. Brakowałoby w nim czegoś, choć namalowałbym go tak dobrze, jak tylko bym potrafił i z pewnością sportretowana osoba byłaby zadowolona.

- Czy właśnie dlatego nie namalowałeś Pameli Curtiss?

Anna była naprawdę zainteresowana tym, co Ryan mówił, mimo że wcale tego nie chciała. Nikomu nie udało się wydobyć z niego przekonującego wyjaśnienia odmowy namalowania żony milionera. Właściwie nie mieściło się w głowie, że jakiś mężczyzna, a zwłaszcza stuprocentowy mężczyzna, mógł być obojętny na urodę Pameli. Ta była modelka miała wspaniałą figurę i nieskazitelne rysy twarzy. Ze swoimi długimi włosami o barwie mahoni i głębokimi, brązowymi oczami była naprawdę pociągająca.

- Pamela Curtiss to pustogłowa idiotka. Ani ona, ani jej mąż nie potrafią odróżnić dobrego obrazu od złego. Ale nie dlatego odmówiłem.

- A więc dlaczego?

- Do cholery! - wybuchnął Ryan. Anna cofnęła się odruchowo. - Przecież mieszkałaś w Forgeley i znasz fabryki, jakie ma tam Drew Curtiss! Obowiązuje w nich niewolnicza praca. W jednej z nich zatrudniony był aż do śmierci mój ojciec, i ja także przez krótki czas, za psie pieniądze. Tacy ludzie jak mój ojciec przyczynili się do dzisiejszej fortuny Curtissa. Nie mógłbym namalować jego żony, bo wciąż

myślałbym o tym, jak moja matka stawała na głowie, by związać koniec z końcem. Patrząc na tę piękną, pustą twarz, widziałbym zmarszczki na twarzach moich rodziców, ślady ich poniżenia i wyczerpania. Curtiss nie byłby w stanie zapłacić mi tyle, bym mógł to przewyciężyć, bo nie ma takiej ceny.

- A jak jest ze mną?

To pytanie wymknęło się Annie, zanim zdążyła się zastanowić, czy w ogóle chce je zadać. Jego wzmianka o Forgeley i rodzicach znowu cofnęła ją do ich wspólnej przeszłości i nie potrafiła już kontrolować swoich wypowiedzi. Pan Cassidy nie żył, ale była ciekawa, jak układało się między nim i Ryanem po jego powrocie do domu w dniu pogrzebu Larry'ego? Czuła teraz zazdrość o jego uczucia rodzinne, które wyraził z takim żarem, bo ona nie знаła niczego takiego. I musiała sobie uczciwie powiedzieć, że nigdy nie podejrzewała go o takie surowe zasady moralne. Do tej pory sądziła raczej, że Ryana o wiele bardziej interesowało zarobienie każdego pensa u Curtissa.

- Jak jest z tobą? - Mierzył ją wzrokiem w taki sposób, że odruchowo odchyliła się do tyłu. - O co chodzi, panno Miller? Czyżbyś domagała się komplementów?

- Nie! - zaprzeczyła tak gwałtownie i pośpiesznie, że czym prędzej spróbowała złagodzić ton. - Jestem tylko ciekawa, czy wykonasz mój portret dlatego, że mnie przypadła główna wygrana na loterii, czy naprawdę mnie namalujesz?

- Z pewnością nie będę miał kłopotów z twoim portretem - mówił głosem, w którym szorstkość mieszała się z nieoczekiwanym żarem zmysłowym. - O tak - powiedział jakby do siebie. - Z pewnością cię namaluję.

Anna zyskała nagle pewność, że Ryan Cassidy pociągają jako mężczyzna, choć zaprzeczało to wszystkiemu, co do niego czuła.

- Cieszę się, że mnie namalujesz - powiedziała obojętnie. - Zależy mi na tym portrecie, bo chciałabym podarować go mojemu... - Chciała powiedzieć narzeczonemu, ale wyzywające spojrzenie chabrowych oczu powstrzymało ją. Dodała więc tylko: - Na urodziny Marcowi.

To oświadczenie nie spodobało się Ryanowi. Zmrużył oczy i odrzucił głowę do tyłu. Anna poczuła się usatysfakcjonowana.

- Marcusowi Dentonowi? - zapytał z taką agresją, że nie była w stanie odpowiedzieć i tylko skinęła głową. Spodziewała się jakiegoś komentarza, ale Ry-n pograżył się we własnych myślach.

- Nie pochwalasz tego?

Chciała zadać to pytanie kpiącym tonem, ale jej głos był na to za słaby.

- Nie pochwalam? - powtórzył z ironią. - A cóż tu jest do chwalenia lub ganienia? Portret będzie, zgodnie z umową, twoją własnością i zrobisz z nim, co zechcesz. Dasz go Dentonowi, powiesz w komórcie na węgiel lub porąbiesz na opał. To nie moja sprawa.

Jego obojętność na to, co stanie się z portretem, mocno ją zabolęła. Wcześniejsze przekonanie Anny, że jest dla niego atrakcyjna, wydało się jej nonsensem. Pomyślała, że może Ryan jest na nią zły, że sama nie chce zatrzymać jego drogiego daru. Czyżby sądził, że zachowa ten obraz na pamiątkę spędzonych z nim chwil?

- Nigdy nie pozbędę się tego obrazu!

Była pewna, że teraz zaskoczy go naprawdę. Poda taki powód zatrzymania obrazu, jakim on pogardza.

- Panie Cassidy, przecież byłoby to pożałowania godne roztrwonienie majątku. Nie jestem aż tak głupia, by nie wiedzieć, że posiadanie obrazu namalowanego przez pana jest bardziej opłacalne niż gotówka w banku. Zresztą Marc powiedział mi, że nie mogłabym lepiej zainwestować. - Z naciskiem wymówiła imię swojego współnika.

Oczy Ryana zapłonęły gniewem i pociemniały, a wokół jego nosa i ust pojawiły się zmarszczki.

- To jest właśnie interesowne podejście, którego mogłem spodziewać się po kimś takim jak Denton - burknął pod nosem i spuścił wzrok. Odwrócił się i chwycił żakiet Anny. - Myślę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia - oświadczył, hamując z trudem gniew. - Na pewno będzie lepiej, jeśli umówimy się na inny dzień. Kiedy możesz przyjść tu znowu, bym mógł naprawdę zabrać się do pracy?

Annę kusiło, by odpowiedzieć, że nigdy. Nie chciała tego portretu, a z pewnością nie chciała do niego pozować.

- Nie uważam... - zaczęła niepewnie, ale natychmiast przerwała, gdy spostrzegła, że jego brwi unoszą się z cynicznym rozbawieniem.

- Tchórzysz? - zapytał kpiąco. - Znowu próbujesz się wymknąć?

Anna poczuła się dotknięta do żywego.

- Nie! Ale nie muszę przyjąć takiej wygranej na loterii. Kupiłam losy dla żartu, a przede wszystkim, by wspomóc dobroczynną akcję Gillie. Nie chcę tego portretu i myślę...

- Ale jak wytłumaczysz twojemu drogiemu panu Dentonowi, że nie dostanie od ciebie obiecanego prezentu urodzinowego? - zapytał bardzo uprzejmie, ale z nieodłączną ironią. - Anno-Luizo, dziewczę drogie, co powiesz twojemu wspólnikowi, by usprawiedliwić odrzucenie szansy tak wspaniałej inwestycji?

Anno-Luizo. Ryan nie musiał mówić wprost, co zrobi, gdy ona odmówi. Wystarczyło, by wymienił jej dwa imiona. Pod przykrywką uprzejmych słów kryło się ostrzeżenie, że jeśli Anna stchórzy, to Ryan Cassidy nie będzie miał skrupułów i ujawni Marcowi wstydlive fakty z jej przeszłości.

- Panno Miller, wygranej na loterii nie można negocjować. Albo portret, albo nic...



- Czyli ujawnisz moją przeszłość?

A więc naprawdę tylko portret miał być ceną za jego milczenie? Nie mogła w to uwierzyć. Gdzie w tym wszystkim kryła się pułapka.

- Tak - powiedział bardzo stanowczo. - Portret lub...

Nie musiał kończyć. Anna z trudem skrywała przerażenie tym, co może się wydarzyć, jeśli odmówi pozwania do portretu. Jej zimny, dobitny głos przepęniała nienawiść do Ryana Cassidy'ego.

- Ma pan chyba rację, panie Cassidy, że nie powinnam odrzucać takiej szansy. Proszę pozwolić...

Wyjęła z torebki kalendarz i udawała, że pilnie sprawdza wolne terminy. Zyskiwała w ten sposób trochę czasu, by dojść do siebie.

- Przykro mi, ale przez cały następny tydzień będę zajęta - skłamała. - Mam wolne tylko niedzielne popołudnie, ale pewnie nie pracuje pan w weekendy?

Miała nadzieję, że Ryan to potwierdzi i że będzie mogła zażądać spotkania dopiero w następnym miesiącu. Liczyła, że w ten sposób cała sprawa rozmyje się powoli, a Ryan nie będzie mógł posądzać jej o tchórzostwo i spełnić groźby szantażu. Ale się przeliczyła.

- Ze mną bywa różnie - odpowiedział spokojnie. - Wszystko mi jedno, kiedy pracuję. Malując zapominam o całym świecie i nie obchodzi mnie, czy jest dzień, czy noc. W przeciwieństwie do ciebie, pracuję zawsze, kiedy nadarza się ku temu sposobność.

Nutka kpiny w jego głosie powiedziała Annie, że jej nie uwierzył.

- A więc do niedzieli. Odpowiada ci pierwsza po południu?

- Przyjdę - odpowiedziała z rezygnacją.

- Przyjdiesz - powtórzył za nią ze spokojem, aż ciarki przeszły jej po plecach. - Jeśli, oczywiście, jesteś rozsądna. Już wiesz, że chce namalować

twój portret i nie mam zamiaru wracać do Yorkshire, dopóki tego nie zrobię. A jeśli nie przyjdiesz, to zacznę cię szukać i z pewnością znajdę. Teraz, kiedy wreszcie dostałem cię w swoje ręce, nawet Londyn jest za mały, byś mogła się w nim ukryć, jeśli oczywiście znowu spróbujesz przede mną uciekać.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Teraz, kiedy wreszcie dostałem cię w swoje ręce, nawet Londyn jest za mały, byś mogła się w nim ukryć, jeśli oczywiście znowu spróbujesz przede mną uciekać”.

Słowa Ryana Cassidy'ego prześladowały Annę przez cały następny tydzień. Desperacko próbowała zająć uwagę pracą, ale ani przez chwilę nie dawały jej spokoju. Najgorzej było wieczorami, kiedy jej umysł nie był zaprzątnięty prowadzeniem biznesu, korespondencją i telefonami.

Próbowała sobie wmówić, że nigdy nie mieszkała przy Empire Street, bo do siódmego roku życia wychowywała się w zupełnie innych, niemal luksusowych warunkach. Tylko takie znał jej ojciec do czasu zamieszkania w Forgeley. Urodził się i wyrósł na południu kraju, w hrabstwie Kent, jako jedyne dziecko bogatych rodziców. Dziadek Anny był właścicielem dużego majątku ziemskiego i Edward Miller był jedynym spadkobiercą. Nie zdobył żadnego zawodu, a gdy mieszkali w Kent, nie musiał oczywiście pracować.

Gdy w wieku trzydziestu pięciu lat przejął po śmierci ojca posiadłość, okazało się, że jest ona o wiele bardziej podupadła, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Wkrótce musiał ogłosić bankructwo i sprzedać dom rodzinny na poczet długów. Wyjechał z żoną i córką na północ, do hrabstwa Yorkshire, bo tam życie było o wiele tańsze niż na południu. Tam musiał się imać różnych prostych, nisko płatnych zajęć, by zapewnić rodzinie dach nad głową.

Kiedy, w pięć lat później, zmarła matka Anny, wydawało się, że Edward zubożył na wszystko. Ostateczne załamanie przyszło pół roku później, gdy stracił pracę i nie mogli już sobie pozwolić na mieszkanie nawet w najskromniejszej, dwurodzinnej willi, którą dotychczas wynajmowali. Wtedy właśnie przenieśli się na Empire Street. Z tego upadku Edward Miller już nigdy się nie podniósł, a Anna zniecierpiała to miejsce i zmianę, jaka nastąpiła w ich życiu.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie Empire Street, te obskurne, oblepione brudem i sadzą domy z zafajdanymi szybami okien i łuszczącą się farbą na drzwiach. Usłyszała ryk motocykli, plugawe szyderstwa młodocianych gangów i nieprzystojne śpiewki pijaków, wracających do domu w sobotnie noce; ich bijatyki, które musiała rozpędzać policja.

Przypomniała sobie także swoje najstraszliwsze przeżycia w dniu pogrzebu Larry'ego. I nawet teraz, po ośmiu latach, łzy cisnęły się jej do oczu na wspomnienie tego, co czuła, gdy dowiedziała się, że Larry nie żyje. Przez pięć lat, aż do jego śmierci, Larry Cassidy, wysoki, dobrze zbudowany, z rudą czupryną i zielonymi oczami, był dla niej niczym bóstwo i stanowił jedyne jasny punkt w tym pełnym ohydny świecie.

Larry był bardzo pogodny i zawsze dla niej miły, w przeciwieństwie do innych chłopaków, którzy zaczepiali ją na Empire Street, wyrzaskując pod jej adresem obraźliwe słowa i dosadne komentarze. Nigdy nie naigrawał się z jej sposobu mówienia i z jej dwóch imion czy z tego, że ojciec zabronił jej kontaktów z ludźmi z Empire Street. Owszem, nazywał ją czasami księżną, ale był w tym delikatny i o wiele bardziej niż inni wyrozumiały wobec dzielących ich różnic. Zachowywał się tak wobec niej pewnie dlatego, że był o wiele starszy. Gdy go poznała, miał już dwadzieścia jeden lat, podczas gdy jego bracia byli wówczas, podobnie jak ona, nastolatkami.

Wkrótce po tym, jak Anna zamieszkała przy Empire Street, Larry zaciągnął się do wojska i nauczył się żyć zupełnie inaczej niż żyło się w Forgeley. Ale nigdy nie mogła się nim nacieszyć, bo przyjeżdżał do domu zbyt rzadko. Z nim wszystko wydawało się jej lepsze i bardziej radosne. Jakże pragnęła tych chwil szczęścia, gdy przedzierzgnęła się z podlotka w kobietę i młodzi mężczyźni wystający na rogach ulic stawali się coraz bardziej napastliwi seksualnie i niebezpieczni. Pamiętała, jak pewnego wieczoru, gdy miała piętnaście lat, została zaczepiona przez czterech wyrostków, którzy żądali, by pocałowała każdego z nich i byli coraz bardziej agresywni, gdy odmówiła. Niespodziewanie zjawił się Larry, który wybawił ją z opresji. Musiał jednak wyjechać nazajutrz do swojego pułku i Anna bardzo się bała, że pod jego nieobecność spotka ją coś

podobnego lub nawet gorszego. Była zdumiona, że dali jej spokój, a dwóch z nich nawet ją przeprosiło. Wiedziała, że zawdzięcza to Larry'emu, mimo że był nieobecny.

Kiedy Larry został zabity, w niecały rok po śmierci ojca, Anna czuła się tak, jakby jej życie legło w gruzach.

Snuła się niczym bezcielesna zjawą. Nie potrafiła cieszyć się świetnie zdanymi egzaminami, nie była zdolna do myślenia i nie mogła płakać. Na pogrzebie Larry'ego czuła taki ból, że nie widziała nikogo. Z odrętwienia wyrwał ją dopiero odgłos kroków kogoś, kto pośpiesznie zbliżał się do grobu. Gdy się rozejrzała, jej wzrok natrafił na wymizerowaną twarz najmłodszego brata Larry'ego.

Po prawie trzech latach nieobecności w Forgeley Ryan Cassidy wyglądał gorzej, niż mogła przypuszczać. Spod jego smagłej cery przebijała szarość, a chabrowe oczy były zgaszone i mocno podkrążone. Włosy, sięgające za kołnierz marynarki, poszarpane przez wiatr, nadawały mu podejrzany wygląd Cygana. Przypomniała sobie, że w pierwszej chwili zareagowała na jego widok złością. Dopiero gdy spostrzegła w jego oczach ból, złość ustąpiła miejsca sympatii o wiele silniejszej niż ta, którą tak brutalnie odrzucił, gdy opuszczał Empire Street. W końcu on także kochał Larry'ego i utracił go. Przynajmniej to ich łączyło. Odsunęła się trochę, by mógł podejść jak najbliżej ciała zmarłego brata i miejsca, gdzie stali rodzice. Do tej pory trzymał się na uboczu, jakby w obawie przed spotkaniem z nimi. Popatrzył na nią z wdzięcznością i przechodząc obok wyszeptał: - Dziękuję, najdroższa.

To była kropla, która przepełniła kielich, dwa słowa wypowiedziane głosem łudząco podobnym do głosu Larry'ego, ukochanego głosu, którego już nigdy nie usłyszy. Anna zalała się wtedy łzami, odwróciła i wybiegła z cmentarza.

Kiedy się trochę uspokoiła, nie mogła usiedzieć w domu. Narzuciła na żałobny strój żakiet i wyszła na dwór, włóczęc się bez celu, ale nogi same zaprowadziły ją z powrotem na cmentarz. Nie miała pojęcia, jak długo

stała nad pokrytym świeżymi kwiatami grobem Larry'ego. Nagle drgnęła niczym spłoszony kot, słysząc łagodny, znajomy głos.

- Wiem, co czujesz.

Odwracając się gwałtownie Anna straciła równowagę i upadłaby, gdyby Ryan Cassidy nie chwycił jej w ramiona. W zapadającym zmierzchu jego twarz wydawała się niemal biała, a oczy wyglądały jak ciemna, nieprzenikniona woda stawu.

- Larry...

Potrafiła wymówić tylko to jedno słowo, które od czasu, gdy dowiedziała się o jego śmierci, świdrowało jej w mózgu. Ryan nie powiedział nic, tylko objął ją mocniej. Wydawało się, że czerpie z tego uścisku siłę, która pozwala jej mówić.

- Dlaczego musiało się to stać? Dlaczego? - powtarzała bezradnie.

Popatrzył na grób, a potem na nią.

- Nie wiem - odparł posępnie.

- Od jak dawna tu jesteś? Jak długo stałeś, przyglądając mi się w milczeniu?

- Przez chwilę. Wyglądałaś jak ktoś, kto nie chce, by go niepokoić rozmową, a i ja nie byłem w nastroju. Nie mogłem usiedzieć w domu, bo chciałem pobyć trochę sam, a oni tam odprawiają prawdziwą irlandzką stypę.

Przesunął dłonie z jej ramion na plecy i przybliżył twarz do jej twarzy. Poczula zapach whisky i dotarło do niej, że powinna bronić się przed Ryanem Cassidym, który kiedyś zadawał się z chuliganami, tak uprzykrzającymi jej życie, i który teraz żył nie wiadomo gdzie i jak. Poza tym stał się dojrzałym, silnym mężczyzną, a ona była sama na tym ciemnym pustkowiu.

- Jesteś pijany! - wykrzyknęła, lecz ku jej zdumieniu Ryan szczerze zatroszczył się o nią.

- Chodź, odwiozę cię do domu. W pobliżu stoi mój samochód.

Pozwoliła się wyprowadzić z cmentarza, ale gdy chciał jej pomóc wsiąść do samochodu, zaczęła się opierać.

- Nie, pójdę piechotą.

- Przecież to kilka dobrych kilometrów, a ty wyglądasz, jakbyś całkiem opadła z sił. Nie wygłupiaj się, Anno-Luizo, wsiadaj do auta.

Nie opierała się dłużej. W drodze powrotnej oboje milczeli. Gdy znaleźli się przed drzwiami jej mieszkania, Ryan wyjął z jej ręki klucze i sam otworzył.

- Wejść z tobą - powiedział stanowczo. - Nie możesz być sama po tym wszystkim.

- Nie!

Teraz kłóciły się w niej dwa różne pragnienia. Nie chciała gościć Ryana w swoim domu, bo zawsze się go obawiała, a teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale nie potrafiła już dłużej być sama i chętnie powitałaby u siebie jakichś gości, nawet Ryana Cassidy'ego.

- Nie chcę...

- Proszę... - Ryan przerwał jej niemal błagalnie. - Ja także pragnę być z kimś.

Wyraz jego twarzy i głos, w którym słychać było ból, przemówił do wrażliwej duszy Anny, choć była zaskoczona jego zachowaniem.

- Zaparzę kawę.

Musiała się czymś zająć, by być z dala od pogrążonego w myślach Ryana, który teraz siedział w jej małym pokoju, po raz pierwszy w życiu. Jej ojciec nigdy nie pozwalał przekroczyć progu ich domu żadnemu

z chłopaków Cassidy'ego. Więc dlaczego ona wpuściła tu teraz Ryana? Był bratem Larry'ego i choć różnili się tak bardzo karnacją skóry, kolorem włosów i budową, przypominał Annie przyjaciela. Szczególnie jego melodyjny głos mogła wziąć za głos zmarłego brata. Pozwalając wejść tutaj Ryanowi zatrzymywała Larry'ego o tę chwilę dłużej.

- Gdzie byłeś przez cały ten czas? - zapytała, by przerwać ciszę, która zapadła po ich wejściu do mieszkania i stawała się coraz bardziej krępująca.

Podawała kawę i usiadła naprzeciw Ryana.

- W Hiszpanii - odpowiedział z gorzkim uśmiechem patrząc na swoje opalone dłonie.

- Znalazłeś tam pracę? Skinął głową.

- Pracę fizyczną, prawie za darmo, ale nauczyłem się żyć bardzo skromnie.

- A co z twoim malowaniem?

- Po nocach malowałem pastelami pamiątkowe portrety turystów w barach hotelowych. - Zaśmiał się z goryczą. - Byłem niczym jednoosobowa firma malarska, która potrafiła wyprodukować w jedną noc bardzo dużo portretów, ale to znakomita praktyka i opłacało się o wiele bardziej niż praca na farmie.

- Co na to twój ojciec? - zapytała trochę zbyt głośno.

- Pogodził się z tym - odrzekł Ryan z pozorną swobodą, lecz w jego głosie dźwięczała posępna nuta. - Stracił już jednego syna i nie chciałby stracić drugiego.

- Larry. - Anna spochmurniała. Nerwowo mnąc spódnice, próbowała powstrzymać łzy. - O Boże, jak bardzo brakuje mi Larry'ego!



- Myślisz, że nie wiem o tym? - powiedział szorstko, niemal wrogo. Gdy jednak zobaczył łzy na jej policzkach, wykrzyknął ze współczuciem:  
- Dziewczyno, na miły Bóg, chodź i pozwól się uścisnąć!

Anna pragnęła teraz tylko tego, by ktoś przytulił ją i pocieszył. Gwałtownie wstała z krzesła i rzuciła się w jego ramiona.

- Wiem wszystko, moje śliczności - łagodne słowa Ryana kołysły jej ból. - Wiem, wiem...

Ryan stał i obejmował ją mocno, a ona chłonęła jego ciepło i siłę. Po raz pierwszy w tych dniach rozpaczyczuła, że jest jeszcze na tym świecie coś trwałego i niezłomnego, na czym może się oprzeć, że jest ktoś, z kim może dzielić swoją rozpacz. Wtulona w niego słyszała bicie jego serca i czuła zapach jego ciała. Objęła go w pasie i przyciskała się do niego tak mocno jak on do niej.

Nagle Ryan rozluźnił uścisk i delikatnie przesunął dłońią po jej policzku, zwracając twarz Anny ku swojej i patrząc na nią pociemniałymi oczami.

- Anno-Luizo - wyszeptał. - Boże drogi, Anno-Luizo...

Zaczął całować jej twarz z jakąś desperacką zachłannością, a ona po chwilowym zaskoczeniu odpowiedziała mu tym samym. Ich usta spotkały się w namiętym, niemal brutalnym pocałunku, jakby mogło to pomóc im wymazać z pamięci okropne przeżycia dzisiejszego dnia. Anna zanurzyła dłonie w jego włosach i przytulała się do niego coraz mocniej. Gdy Ryan zaczął w podnieceniu pieścić jej ciało, czuła jak jej własna namiętność wzmaga się i rozpala niczym płomień pochłaniający w mgnieniu oka suchy las. Owładnęło ją pragnienie przytulenia się do jego nagiego ciała, by poczuć na skórze jego ciepło. Szarpnęła guziki koszuli. Pomyślała, że tylko w ten sposób może uwolnić się od swojej rozpaczyczuła. Ryan zerwał już z niej bluzkę i spódnice. Czuła dotyk jego dłoni na piersiach i biodrach i ogień pocałunków na całym ciele.

Krzyczała w wirze namiętności i coraz silniejszego podniecenia, które było niemal bolesne. Niczego nie pragnęła tak w swoim życiu, jak kochać się teraz z Ryanem. Chciała w ten sposób upewnić się, że życie wciąż trwa i że ona wciąż czuje, a Ryan, jakby czytając w jej myślach wyszeptał nierównym, niskim głosem:

- Pragnę cię, Anno-Luizo. Boże drogi, pragnę cię! Pragnę tego...

-Tak - wpadła mu w słowo niemal ze złością, już nie panując nad swoim podnieceniem. - Tak! Tak! Tak!

Gdy poczuła dotyk jego nagiego ciała, objęła go mocno i niemal wbiła paznokcie w jego plecy. Osunęli się na dywan. Anna zdawała się być zniecierpliwiona, że nie są jeszcze ze sobą.

- Anno-Luizo! - wykrzyknął zduszonym głosem, w którym usłyszała dziwnie rozpaczliwy ton.

- Teraz, teraz! - krzyknęła, ale jej głos wcale nie wyrażał bliskości i oddania. Nawet teraz Ryan nie był w stanie rozproszyć jej lęków. Westchnął doznając rozkoszy, lecz Anna czuła tylko ból; ból, jakiego nie znała, który rozrywał jej ciało. Zesztywniała i odtrąciła Ryana. Z rozpaczą uświadomiła sobie, co naprawdę zrobiła.

W swoim cierpieniu i samotności zwróciła się ku Ryanowi, ale pragnęła tylko Larry'ego. On jednak nie żył, a poczucie, że utraciła go na zawsze i nigdy nie ofiaruje mu swojej miłości, dziwnie połączyło się w jej umyśle z podobieństwem Ryana do brata. I to przywiodło ją do szalonej myśli, że marzenie jej życia, aby być z Larrym, wcale nie zostało zniweczone. A Ryan to wykorzystał i skradł jej miłość.

O, Larry, Larry! Łzy znowu płynęły z jej oczu i dopiero teraz poczuła się naprawdę osierocona. Przeżywała psychiczne tortury. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, ale powiew zimnego powietrza przywrócił ją z powrotem do rzeczywistości. Zauważyła, że Ryana nie ma już obok niej. Zbierał z podłogi ubranie, zakładając je gwałtownie.

- Ryan? - z trudem wydobyła z siebie głos. Zastygł z koszulą w rękę. Miał pobladłą twarz i rozgorączkowane z wściekłości oczy. Jego klatka piersiowa falowała od ciężkiego, nierównego oddechu.

- Czy nie nadszedł moment, w którym powinienem cię zapytać, czy było ci tak dobrze ze mną, jak mnie z tobą? - burknął zjadliwie. Anna poczuła się, jakby na jej bezbronne ciało spadły fizyczne razy. - Ale w naszym przypadku pewnie właściwiej byłoby zapytać, czy było ci tak źle ze mną...

Potrząsnął głową w tak wymowny sposób, że nie musiał już kończyć, ale w końcu dopowiedział.

- Jak mnie z tobą.

- Ja...

Anna chciała powiedzieć, że nie rozumie, o co mu chodzi, bo rzeczywiście nie rozumiała. Pomyślała, że przecież dostał to, czego chciał i dziwiła się, że jest taki wściekły.

- Nie mów nic, Anno-Luizo, tak będzie lepiej, bo nie odpowiadam w tej chwili za siebie.

Wkładał koszulę, a jego pośpieszne ruchy świadczyły o tym, że chce jak najszybciej wyjść.

- Dokąd idziesz?

- Do domu.

Do domu? Teraz? Pomyślała, że dokądkolwiek by szedł, sprawiłoby jej ból. A więc to on niczego nie rozumiał! Czyżby Ryan Cassidy był tak gruboskórny, by zostawić ją w tej chwili samą? Tak, jej ojciec ostrzegał ją wielokrotnie przed mężczyznami takimi jak on, którzy chcieli tylko jednego, a potem wszelki ślad po nich ginał. Jej duma została urażona.

- Podaj mi ubranie - powiedziała sztywno. Rzucił je w jej stronę w taki sposób, jakby wszystko, co należało do niej budziło w nim wstręt. Nie

miała dość siły, by ubrać się, ale okryła nagie ciało przed piorunującym spojrzeniem Ryana.

- Ja też chcę, byś wyniósł się stąd natychmiast.

- Nie martw się. Nie zamierzam pozostać tu ani chwili dłużej.

Włożył buty, przerzucił przez ramię marynarkę i już przy drzwiach powiedział:

- Miło było cię poznać, Anno-Luizo. Ja zawsze mówię prawdę. Chcę ci powiedzieć, że nie jestem Larrym i nigdy nie będę. Wybrałaś niewłaściwego Cassidy'ego, lady...

Nikt nie musiał jej tego mówić. Ryan nie należał nawet do tego samego gatunku ludzi, co delikatny Larry. W ogóle nie był człowiekiem, ale gruboskórnym, okrutnym i samolubnym zwierzęciem! Ubierała się trzęsącymi rękoma. Mankiet jednego z rękawów bluzki był prawie oderwany i w obliczu oczywistej brutalności Ryana zagotowało się w niej. Wstrząsana rozpaczą rzuciła się na podłogę. Był tu zaledwie godzinę i zdążył w tak krótkim czasie złamać jej życie. Myślała, że utrata Larry'ego połączy ich, a tymczasem on myślał tylko o swojej chuci.

Dopiero teraz zwróciła uwagę, jak często przyglądał się jej tymi swoimi chabrowymi oczami, gdy odwiedzała Cassidych, by spotkać się z Larrym i jak stawały się wtedy niemal czarne. A jego kumple z gangu wołali za nią: Ryan Cassidy ma na ciebie ochotę.

Czuła niesmak i mdłości, gdy zmusiła się, by odtworzyć wydarzenia dzisiejszego wieczoru od chwili spotkania z Ryanem. Przyszło jej do głowy, że może już wtedy myślał nie o bracie, lecz o tym, że zawsze chciał ją mieć. I na zimno uknuł plan, że uwiedzie ją pod pozorem ofiarowania pociechy. Jak mogła dać się tak nabrać! Z furią przeklinała teraz swoją naiwność. Przecież wiedziała, jaki on jest i zawsze mogła się tego po nim spodziewać. Ale Ryan tak zręcznie odegrał swoją rozpacz i wykorzystał jej samotność, że Anna całkiem straciła instynkt samozachowawczy. Wierzyła, że on czuje się tak samo opuszczony i po

raz drugi okazała mu sympatię. Jednak tym razem zabrał jej niewinność i miłość do Larry'ego, roztrzaskał jej życie na kawałki.

Nie mogła znieść myśli o ponownym spotkaniu z nim kiedykolwiek i nie mogła już dłużej mieszkać przy Empire Street. Bała się, że nieuchronnie natkną się na siebie. Zresztą po śmierci ojca i Larry'ego nic jej tu nie trzymało. Zapragnęła wyjechać stąd jak najszybciej, a myśl o tym złagodziła trochę jej cierpienia. Mieszkanie nie stanowiło żadnego problemu. Czynnosc był zapłacony, a z nędznymi meblami właściciel może zrobić, co zechce.

Podniosła się z podłogi i powlokła do sypialni, by spakować walizkę. Po godzinie jechała już taksówką na dworzec. Postanowiła wsiąść do pierwszego pociągu, który nadjedzie, byle być jak najdalej od Ryana Cassidy'ego i Empire Street, którą opuszczała na zawsze.

Przypominała sobie to zdarzenie sprzed ośmiu lat, leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć. Nieoczekiwane spotkanie z Ryanem Cassidyem po tak długim czasie utwierdziło ją tylko w przekonaniu, jak mało znaczyła dla niego tamta noc. Przez te wszystkie lata ona żyła z ranami, które nie mogły się zagoić, a dla niego była to tylko sposobność do szantażu. Wykorzystał ją wtedy nikczemnie, nie licząc się z jej uczuciami i teraz próbował zrobić to ponownie. Anna pomyślała, że musi nauczyć się żyć z przerażającą świadomością, że nie ma wpływu na to, co on powie Marcowi, jeżeli tylko zechce, i nie potrafi przewidzieć, jak zachowa się Marc. Czy będzie chciał ożenić się z nią, gdy pozna jej przeszłość?

Była ciepła, letnia noc, a jej zrobiło się zimno na myśl, że Marc może nie wybaczyć jej kłamstwa sprzed trzech lat. I co stanie się z ich spółką, gdy on postanowi zerwać ich przyjacielskie stosunki? Z pewnością wycofa się z Sekretów Natury. Za jednym zamachem legną w gruzach wszystkie jej nadzieje i marzenia. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

Musi zyskać pewność, że Ryan nigdy nie powie Marcowi prawdy. Wyznał, że dopóki będzie mu pozowała do portretu, nie zrobi tego. Ale co się stanie, gdy portret zostanie namalowany?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Twoja pracownia jest naprawdę niezwykła! Pełna skarbów, niczym grota Aladyna!

Anna nie potrafiła powstrzymać okrzyku zachwytu na widok pracowni Ryana. Zjawiła się u niego w niedzielne popołudnie, by mu pozować, pełna obaw, że ani przez chwilę nie będzie czuła się dobrze. I rzeczywiście, pierwsze minuty upłynęły w sztywnej, choć ugrzecznionej atmosferze. Ale pracownia Ryana ją oczarowała, wielka i pełna światła, z takimi samymi oknami jak w salonie. Było w niej mnóstwo najrozmaitszych farb, pędzli i panował tu artystyczny nieład.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że nasza praca jest pod pewnymi względami tak podobna - powiedziała, oglądając z zainteresowaniem kolekcję pędzli. - Oczywiście, nie jestem artystką, ale oboje używamy prawie takich samych narzędzi.

- Nie umniejszaj tego, czym się zajmujesz. Mógłbym się założyć, że niektórzy z twoich klientów wyżej cenią twoje umiejętności niż moje. Ostatecznie, służą one do upiększania ich wyglądu, a ja tylko go odtwarzam.

- Kto tu umniejsza swoją pracę? - zaprotestowała Anna. - Nie możesz używać słowa „tylko”. Twoje zdolności są wyjątkowe! Przecież wiesz o tym. Czy nigdy nie pochlebiały ci twoje obrazy?

- Maluję tak, jak widzę, a pochlebianie sobie nie ma nic wspólnego z prawdą - odpowiedział spokojnie, ale coś w jego głosie i spojrzeniu, jakim ją obrzucił, sprawiło, że Annie zrobiło się na przemian zimno i gorąco.

Jak ją przedstawi, zastanawiała się. Nie potrafiła przewidzieć, jaką prawdę o niej Ryan ukaże w portrecie. Czy namaluje Annę Miller, czy Annę-Luizę? Nie miała pojęcia, jak on ją widzi.

- Pamiętam, jak bardzo musiałam oszczędzać, by kupić sobie pierwszy w życiu zestaw przyborów, koniecznych do nauki kosmetyki - rzuciła naprędce, bo cisza, jaka zaległa, stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, a poza tym miała już dość przykrych dla niej myśli. - Traktowałam je niczym skarb.

Chciała teraz powiedzieć coś, co mogło rozgniewać Ryana i na moment zawahała się.

- Dopiero wtedy zrozumiałam naprawdę, jak strasznie musiałeś się czuć tamtego dnia, kiedy ojciec zniszczył twoje farby i pędzle - wyznała drżącym głosem.

W jego pociemniałych oczach pojawił się błysk zdradzający jakieś gwałtowne uczucie, ale niemal w tym samym momencie spuścił powieki i wzruszył ramionami.

- To było dawno.

Może dla niego, ale nie dla mnie, pomyślała Anna. Stojąc tu teraz z Ryanem, posępnym i zamkniętym, przy stole wypełnionym farbami i pędzlami, czuła się tak, jakby czas się cofnął i była znowu świadkiem tamtego zdarzenia. I teraz rzeczywiście dotarło do niej, jak musiało to wstrząsnąć nim i jak żałośnie mogły zabrzmieć jej słowa o sympatii. Nie chcąc zdradzić się ze swym zmieszaniem, zarzuciła go pytaniami o pracę, a on odpowiadał spokojnie, bez zniecierpliwienia.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako biznesmenki - powiedział i z iskierką rozbawienia w oczach obserwował, jak Anna zestawia barwy farb. - Kiedy opowiadałaś Larry'emu, czym chciałabyś się zajmować, to najbardziej interesowała cię sztuka makijażu i charakteryzacji. Mogłaś rozmawiać o tym i o kolorach godzinami.

Anna przesunęła się bliżej okna pod pretekstem, że chce lepiej obejrzeć barwę farby, której tubkę trzymała w dłoni. Starła się ukryć przed Ryanem wyraz twarzy na wspomnienie tych chwil, kiedy w domu Cassidych dzieliła się z Larrym swoją pasją do kosmetyków. Dobrze

pamiętała, że chłoneła te krótkie chwile, jakie mieli dla siebie. Była wrogo usposobiona do Ryana i ostentacyjnie ignorowała jego udział w rozmowie, aż wychodził rozwścieczony, trzaskając drzwiami.

- Nie miałem wątpliwości co do tego, że będziesz zajmowała się kosmetyką, ale myślałem, że pewnego dnia zaczniesz robić charakterystycę dla kina i telewizji.

-Też tak sądziłam, ale gdy zaczęłam uczyć się kosmetyki, odkryłam, że interesują mnie sprawy bardziej podstawowe niż aktorski makijaż. Pewnego dnia wyszperałam w antykwariacie starą książkę, w której były przepisy i porady, jak pielęgnować skórę i włosy. Wypróbowywałam niektóre z nich na sobie. Z początku to było tylko hobby, ale szybko stało się czymś poważniejszym; ta naturalna kosmetyka, bez dzisiejszej chemii. - Nagle uświadomiła sobie, że on obserwuje każdy jej ruch, każdy gest i najdrobniejszą zmianę w wyrazie twarzy. Poczuła się nieswojo i oblała rumieńcem. - Przepraszam, odciągam cię od pracy...

- Mów dalej. Moja praca nie sprowadza się tylko do trzymania pędzla w dłoni. Już wiesz, że najpierw chcę poznać osobę, którą mam malować - zareagował Ryan na jej skrupuły.

Osiem lat temu nie miał czasu, by ją poznać, pomyślała Anna z goryczą.

- Nie. Rzeczywiście będzie lepiej, gdy zaczniemy. Nie chciałabym tu spędzić całego dnia.

Nie spodobała mu się ta uwaga. Anna wyczytała to natychmiast z jego oczu i przypomniała sobie zdarzenie, które miało miejsce, gdy mieszkali przy Empire Street. Ryan miał wtedy dziewiętnaście lat i otworzył Annie drzwi do mieszkania Cassidych, gdy zapukała chcąc zobaczyć się z Larrym, który właśnie przyjechał na urlop.

- Nie ma go - powiedział bez żadnego wstępu, w ogóle nie pytając jej, w jakiej sprawie przysłała. - Wyszli z matką do miasta i nie wrócą



wcześniej niż za godzinę - wyjaśnił, zapraszając ją zarazem, by poczekała na Larry'ego w mieszkaniu.

Anna nawet nie próbowała wyobrazić sobie, jak zareagowałby na to jej ojciec. Tolerował tylko Larry'ego, bo jego zdaniem najstarszy syn Cassidych przynajmniej próbował być inny. W wojsku miał się nieźle; był usatkwony, odpowiedzialny i uprzejmy. A z Ryanem było całkiem inaczej. Nie miał wprawdzie, tak jak Rory, opinii kogoś z piekła rodem, ale wszyscy uważali go za uwodziciela. Pamiętając ostrzeżenia ojca, Anna poczuła strach na myśl, że będzie z Ryanem sama, nawet bez pani Cassidy w roli przyzwoitki. Podziękowała oschle i powiedziała, że przyjdzie później. A on zareagował na jej odmowę właśnie takim wyrazem twarzy jak teraz. Jego twarz stała się nieprzystępna niczym skała. Usta zamieniły się w długą, twardą linię, a oczy w wąskie szparki. Przestraszyła się go tak samo jak wtedy.

-Gdzie mam usiąść? - spytała, by przerwać nieznośną ciszę.

Ryan w milczeniu wskazał jej krzesło pod oknem. -Przyniosłaś jakieś ubrania? - zagadnął, chcąc upewnić się, czy wykonała jego polecenie.

- Są tutaj.

- Włóż to - zdecydował, rzucając w jej stronę bluzkę. - Spódnicy nie musisz zmieniać, bo ważna jest tylko głowa i ramiona. Przebierz się w łazience.

Anna stwierdziła, że jest to bluzka, którą ona sama uznała za najlepszą. Uszyta z jedwabiu o barwie szmaragdów, miała wielki kołnierz i obszerne rękawy. Była zwiewna i znakomicie pasowała do jej złocisto-rudych włosów, a oczom o barwie mchu nadawała wyjątkowy blask.

- Włosy zostaw rozpuszczone - dobiegł ją głos Ryana, gdy wchodziła do łazienki. Więc teraz przejechała tylko po nich szczotką, podmalowała usta brązową szminką, wzięła kilka głębokich oddechów i wróciła do pracowni.

Upłynęło trochę czasu zanim Ryan upozował ją do portretu. Musiała się bardzo starać, by nie cofnąć się przed jego dotykiem, mimo że był zimny i bezosobowy. Z jego miny wywnioskowała, że zauważył to i jest zły. Ścisnęło ją w dołku na myśl, że zaraz wybuchnie, ale ku jej zdumieniu przez cały czas milczał, aż w końcu odszedł na odległość kilku kroków i oglądając jej pozę z zadowoleniem kiwnął głową.

- Wiedziałem od razu, że ta bluzka jest najlepsza, ale najchętniej namalowałbym cię w sukni, w której byłaś na balu. Wyglądałaś w niej jak madame Recamier - mówił, a jego uśmiech wyrażał zmysłowy zachwyt.

Anna bardzo się starała, by nie okazać swojego wzburzenia. Znała ten dziewiętnastowieczny obraz i myśl o tym, jak wygląda pozująca do niego kobieta, wcale nie była dla niej miła. Swobodna poza jej spoczywającego na kanapie ciała, które prześwituje przez delikatny materiał sukni, ukazując zarys piersi, i zmysłowo udrapowany szal zawsze sprawiały na Annie wrażenie, jakby modelka kochała się przed chwilą z artystą. A ona nie życzyła sobie, by Ryan tak właśnie ją widział. Jednak nie kontrolowana fala zmysłowości ogarnęła jej ciało, gdy zaczął malować. Teraz odbierała przenikliwe spojrzenia Ryana jak pieszczoty, jak dotyk miękkiego jedwabiu, w który była spowita. Siedział naprzeciw niej w poplamionym farbą podkoszulku i dżinsach, całkowicie pogrążony w pracy, z błyszczącymi w słońcu czarnymi włosami, a jego silne, smukłe ciało, długie nogi i wąskie biodra wprawiały ją w stan niepokojącego podniecenia. Czuła się jak zahipnotyzowana ruchem jego zręcznych dłoni i grą mięśni ramion. Bezwiednie przeniosła się myślami do ich spotkania w ogrodzie, gdy te silne ramiona były tuż przy niej, a ciemna głowa pochylała się nad nią...

Nie! Nie może o tym myśleć, przynajmniej nie teraz. By oderwać się od tego wspomnienia, pośpiesznie zapytała:

- Mówiłeś, że twój ojciec nie żyje. A co z matką?

- Dwa lata temu wróciła do Irlandii. Nigdy nie była szczęśliwa w Yorkshire - odpowiedział spokojnie, co przyjęła z ulgą.

- Wiem, co czuła.

- Nie wiesz - zaprzeczył ostrym tonem. - Nic nie wiesz o mojej rodzinie, Anno-Luizo.

- Widziałam cię codziennie przez kilka lat! - odparła urażona.

- Widziałeś tylko to, co chciałaś widzieć. Nie ruszaj się. Nie mogę pracować, kiedy jesteś zdenerwowana!

- Nie jestem zdenerwowana! - wykrzyknęła i postanowiła, że nie powie już ani słowa.

Ryan nie zamierzał jednak zmieniać tematu.

- A czy nie chciałabyś dowiedzieć się czegoś także o Rorym? - zapytał kpiąco.

- Tak, powiedz mi coś o nim. Czy wciąż pracuje w tym samym... biznesie? - ostatnie słowo wypowiedziała z nie ukrywaną ironią.

- To znaczy, chciałabyś wiedzieć, czy wciąż wynosi rzeczy z cudzych domów? Tak, wciąż to robi - odpowiedział nonszalancko, choć ledwie dostrzegalny błysk jego oczu świadczył, że poczuł się jej słowami dotknięty.

Nie mogła zrozumieć, jak Ryan mógł tak lekko traktować to, że jego brat jest złodziejem i że siedzi w więzieniu. Czy naprawdę nie obchodzi go, co pomyślą ludzie, gdy się o tym dowiedzą? Najwidoczniej nie. Znając Ryana, uznała, że on wcale nie potępia brata. Stwierdziła jednak, że będzie rozsądniej nie komentować tego. Ale w wyrazie jej twarzy musiało pojawić się coś, co zdradzało te myśli, bo Ryan roześmiał się nagle i powiedział.

- Ty jesteś przezroczysta, Anno-Luizo. Twoje myśli wypisane są na twarzy. Więc może zainteresuje cię, że Rory wynosi teraz rzeczy z domów innych ludzi za ich zgodą. Cztery lata temu wszedł do spółki, która zajmuje się przeprowadzkami, i idzie mu znakomicie, a pierwszego

czerwca właśnie się ożenił, z dziewczyną z Londynu. Są teraz w podróży poślubnej.

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, targana sprzecznymi myślami i odczuciami. Rory, ten najbardziej zdziczyły z braci Cassidych, ustatkował się. Prowadzi własny biznes i ożenił się!

Przypomniała sobie, że wtedy, gdy po wyjściu z restauracji z Markiem spotkali Rory'ego i Ryana na parkingu, był ostatni dzień maja. Żle wówczas rozumiała słowa Rory'ego, że jest to jego ostatnia noc wolności. Sądziła, że powiedział tak, bo wybierał się na kolejną odsiadkę, a on w tradycyjny, żartobliwy sposób rozmawiał z bratem o swojej ostatniej nocy przed ślubem i spędzał z nim kawalerski wieczór.

- Nie masz nic do powiedzenia? - rzucił zjadliwie Ryan. - Jestem pewien, że nie. Zrozum, Rory popełnił w przeszłości błędy, ale zapłacił za nie i ustatkował się. Wszyscy je zresztą popełniliśmy. Kiedy odsiedział swój pierwszy wyrok, postanowił, że już nigdy nie wróci do więzienia. Ciężko pracował, budując swoją dobrą reputację i szczęśliwie nikt dziś nie wypomina mu przeszłości.

Słuchając go, Anna zastanawiała się w napięciu, czy gdy mówił o ich błędach, dawał jej do zrozumienia, że ma na myśli wydarzenia tamtej nocy, kiedy na zawsze wyjechała z Forgeley. Była pewna, że adresował do niej ostatnią uwagę i poczuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam - powiedziała ze skruchą.

Ryan wzruszył ramionami, jakby jej przeprosiny nie miały znaczenia. Uświadomiła sobie nagle, iż mogła mylić się także w stosunku do samego Ryana. Z pewnością osiągnął w życiu o wiele więcej, niż ośmieliłby się przypuścić jej ojciec. Edward Miller był przekonany, że Rory jest notorycznym przestępcą, kimś, kto nie nauczy się nigdy niczego na swoich błędach i spędzi większość życia w kryminale, ale czas pokazał, że się mylił. Dlaczego więc miałby mieć rację w przypadku Ryana? Teraz dopiero Anna wzięła pod uwagę, że jej ojciec wcale nie musiał znać się na

ludziach i że traktując jego sądy jak święte, nie widziała prawdopodobnie własnych pomyłek i uprzedzeń.

Bała się jednak, że skoro nie miała dotychczas własnego zdania na temat Ryana, będzie wobec niego zbyt pobłażliwa. I przecież tamtego wieczoru, po pogrzebie Larry'ego, zachował się wobec niej nikczemnie. Wydało się jej niepodobieństwem, by w jego przypadku czas coś zmienił. Czy groźba szantażu, jedyny powód, dla którego tu teraz była, nie potwierdzał tego? Te rozmyślania powstrzymywały ją od rozmowy, a i Ryan wydawał się nieskory do mówienia, tak że prawie cała następna godzina upłynęła w milczeniu. W końcu Ryan odłożył pędzel i powiedział:

- Przerwijmy na chwilę. Pewnie zdrętwiałaś od tak długiego siedzenia.
- Chętnie rozprostuję kości - podchwyciła jego propozycję, wystawiając się z rozkoszą na promienie letniego słońca, które zalewały pracownię.

Nagle zauważyła, że Ryan jest w nią wpatrzony. Jego oczy pociemniały, a dłoń zacisnął kurczowo na krawędzi sztalugi. Serce zaczęło jej bić gwałtownie. Poczowała, że Ryan jej pragnie i że ona odwzajemnia jego pragnienie. Ale w chwilę później jego twarz była obojętna i tonem niemal zdawkowym spytał:

- Napijesz się kawy? A może wina?
- Poproszę wino.

Z trudem panowała nad głosem i miała nadzieję, że alkohol pomoże jej zmniejszyć napięcie. Ryan wyszedł do kuchni, a ona zaczęła krążyć po pracowni, by uwolnić się od zmysłowego podniecenia. Spoglądała na leżące wszędzie prace Cassidy'ego, z których jedne były ukończone, a inne ledwie rozpoczęte, ale wszystkie budziły w niej podziw dla talentu, z jakim potrafił uchwycić osobowość portretowanych ludzi i ich cechy fizyczne. Była pochłonięta oglądaniem rysunków twarzy starszej kobiety.

Gdy usłyszała, jak Ryan wchodzi z winem, odwróciła się i wykrzyknęła z entuzjazmem.

- Są wspaniałe!

- To Mona. Z taką twarzą trudno o porażkę. Podeszedł i z ciepłym uśmiechem wziął z jej ręki rysunki. Przedstawiły kobietę około siedemdziesiątki, która musiała być kiedyś olśniewająco piękna, a teraz jej twarz rzeźbiły zmarszczki.

- Czy nie jest urzekająca? - mówił, patrząc na Annę, a w jego oczach malował się zachwyt.

- Nigdy nie pomyślałabym, że to powiesz. Sądziłam raczej, że z nienawiścią traktujesz te wszystkie... - wskazała zmarszczki na twarzy Mony. - Czy naprawdę nie interesowało cię zacieranie śladów działania czasu, wygładzanie zmarszczek i utrzymywanie wyglądu w stanie ponadczasowej młodości?

- Nie myślę w ten sposób. Pragnę wydobyć z każdej kobiety, także z mężczyzny, to, co w nich najbardziej interesujące, stosownie do wieku. Nie chcę, by kobieta, która jest blisko osiemdziesiątki, wyglądała jak nastolatka. Nie rozumiem, jak w ogóle można martwić się tym, że twarz zmienia się wraz z wiekiem. Zmarszczki wydobywają osobowość, nadają głębię. Popatrz na nią. Była kiedyś zachwycającą dwudziestolatką, a teraz jest jeszcze bardziej zachwycającą starszą panią. Upływ czasu i przeżycia odcisnęły się na jej twarzy i nadały jej nowe piękno. Właśnie dlatego chciałem ją namalować.

Ryan mówił ciepłym głosem, a Anna słuchała go z wielką uwagą. Patrzyli sobie głęboko w oczy i rozumieli się tak dobrze, że pomyślała, iż czas stanął w miejscu i tylko oni są na świecie, zdolni rozmawiać ze sobą bez słów.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu, który przywrócił ich z powrotem do rzeczywistości. Na twarzy Ryana dostrzegła żal, a ona czuła się wybita z rytmu. Gdy poszedł odebrać telefon, zastanawiała się, jak to wszystko

mogło się zdarzyć. Jak mogła osiągnąć tak intymne porozumienie z mężczyzną, którego przecież się bała i którego nienawidziła? Wciąż próbowała doszukać się w tym jakiejś ukrytej logiki, gdy zjawił się Ryan i oznajmił, że dzwoniła Gillie.

- Przepraszam, ale wyleciało mi z głowy, że obiecałem pomóc wieczorem Gillie w centrum - powiedział.

- W centrum? W centrum dla młodzieży? - zapytała ostrym tonem.

Zdała sobie sprawę, że zniszczyła w ten sposób moment porozumienia i jedności, który ich przed chwilą połączył. Wiedziała to, bo Ryan zmrużył oczy i czuła, że oddalił się od niej. Było jasne, że wspierał aktywnie projekt Gillie, ale nie przypuszczała, że był osobiście zaangażowany w działalność centrum. Pomyślała jednak, że po tym, co przeżyła z nim przed chwilą, Ryan nie zaskoczy jej już niczym.

- Tak... Niektóre dzieci są naprawdę uzdolnione plastycznie. Przynależem Gillie, że będę im pomagał, kiedy tylko będę mógł.

Ta pauza nasunęła Annie dziwne przypuszczenie, że Ryan zbiera się na odwagę, by zakomunikować jej coś ważnego. Ale lekki ton, jakim w końcu zaproponował, by poszła z nim do centrum, jeśli ma na to ochotę, upewnił ją, że się myliła.

- Nie, nie mogę - odpowiedziała natychmiast. - Naprawdę jestem bardzo zajęta. Musiałam się nieźle nagimnastykować, by tu dzisiaj przyjść.

Powiedziała sobie, że wystarczająco przykre było już to, że musiała z nim spędzić popołudnie. Jednak uczciwie mówiąc, wcale nie czuła się w pracowni Ryana źle, wyjąwszy spięcie z powodu Rory'ego. Myszowanie po tym interesującym wnętrzu sprawiło jej ogromną frajdę, a Ryan ofiarował jej wspaniałomyślnie swój czas, odpowiadając cierpliwie na mnóstwo pytań. Wcale nie musiał tego robić i znosić napadów jej złego humoru, choć chciał ją obserwować przed malowaniem. Musiała jakoś złagodzić kategorię ton, jakim odmówiła pójścia z nim do centrum.

- Teraz nie mogę, ale może innym razem - dodała spokojniej.

W rzeczywistości tak bardzo chciała z nim pójść, że przestraszyła się tego. Czuła się tak, jakby jej dotychczasowy świat rozpadł się na kawałki. Musiała mieć trochę czasu, by uporządkować myśli i dlatego odmówiła.

- Kiedy chciałbyś spotkać się ze mną znowu?

- Więc wciąż jesteś skłonna mi pozować?

W jego głosie dźwięczała nieprzyjemna nuta. Anna pomyślała, że pozwoliła sobie na chwilę słabości, że zapomniała, dlaczego tu przychodzi. Posmutniała i po chwili odpowiedziała.

- O tak, jestem skłonna. Biorąc pod uwagę twoją groźbę szantażu nie mam przecież wyboru.

- Nie, nie masz - powiedział twardo.

Wyzbyła się już ostatecznie złudzeń. Była zrozpaczona i przerażona. A zatem tylko jej się wydawało, że odczuwali to samo oglądając portret Mony.

- Lepiej będzie, jeśli powiesz mi, kiedy mam przyjść - odrzekła równie twardo.

Ryan westchnął ciężko i przez zaciśnięte usta rzucił pytanie.

- Dlaczego tak sobie uprzykrzasz pozowanie? Przecież to wcale nie musi być takie nieprzyjemne.

- A jest inna możliwość?

- Spróbuj być przyjacielska.

- Przyjacielska? Wobec ciebie? Wolałabym pocałować kobrę!

W oczach i głosie Ryana był lodowaty chłód.

- Wyglądasz teraz jak twój ojciec, który miał wypisane na twarzy, że sama bliskość Cassidych kala go. Zawsze z taką bez troską umniejszał



innych, a była to wyjątkowa arogancja w przypadku kogoś, kto tak skalał własne życie.

- Nie wyrażaj się w ten sposób o moim ojcu! Wiem, że zawsze go nienawidziłeś..

- Jesteś bardzo skora do rzucania wokoło oskarżeń o nienawiść - przerwał jej z ironią. - Z tą nienawiścią to nieprawda, ale owszem, pogardzałem nim.

- Ty śmiałeś nim pogardzać?! Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, inteligentnym i bardzo wrażliwym, kimś, kto miał nie tylko życiowego pecha...

- To tylko zdanie Edwarda Millera - uciął jadowicie. - To wersja, w którą ty miałaś wierzyć, ale ja widziałem kogoś całkiem innego. Człowieka, który miał wprawdzie pewne godne podziwu zalety, ale nie umiał stawić czoła niepowodzeniom, bo nigdy nie próbował serio walczyć. W końcu doszło do tego, że obraz rzeczywistości Edwarda Millera był kompletnie wypaczony, ale przecież widział wszystko przez szkło osuszonej do dna butelki.

- Nie! - zaprotestowała, jakby próbując zagłuszyć prawdę, która dopiero teraz do niej dotarła. Ryan wiedział o czymś, o czym nigdy nikomu nie mówiła, o pijaństwie jej ojca.

- Czy nie próbujesz wciąż jeszcze ukrywać nieprzyjemnych faktów z twojego życia, Anno-Luizo? Kiedy ty zrozumiesz, że nigdy od nich nie uciekniesz?

- Wcale nie uciekam!

- O tak, uciekasz i dlatego tu jesteś.

- Jestem tu, ponieważ schwytałeś mnie w pułapkę...

- Jesteś tu, ponieważ pozwoliłaś mi schwytać się w pułapkę. Mogłabyś tak łatwo wyswobodzić się z niej, gdybyś tylko chciała. Wystarczy, że powiesz Marcowi prawdę o sobie.

To brzmiało przekonująco, ale Annie kręciło się w głowie na myśl, jak Marc zareaguje. Poza tym to, że Ryan tyle wiedział o jej ojcu, o czym nie miała pojęcia, bardzo wszystko pogarszało. Mógł przecież powiedzieć Marcowi, że Edward Miller popadł w alkoholizm, nie radząc sobie kompletnie z trudnościami życia.

- Ale ty nigdy tego nie zrobisz, prawda? Masz to wypisane na twarzy. Dlaczego nie pošlesz mnie do wszystkich diabłów i nie powiesz mi, że Denton nie będzie robił problemu z twojej przeszłości?

Bo wiedziała, że będzie. Bo nie miała wątpliwości, że Marc, który był przekonany, że ona pochodzi z bardzo dobrego domu, zareaguje źle na wiadomość, że jej ojciec zapił się na śmierć w nędznym mieszkaniu przy obskurnej uliczce. Była w tym wszystkim gorzka ironia, nie mogła zwrócić się o pomoc do Marca jako do przyszłego męża, by wspólnie stawić czoło szantażowi Ryana.

- Nie powiesz mi tego? Nie powiesz mi, że ten mężczyzna, którego przedstawiłaś jako prawdziwego dżentelmena...

- Jest nim!

- Na pewno? Czy prawdziwy dżentelmen nie powinien kochać cię za to, kim jesteś, nie przywiązując wagi do przeszłości?

Miłość. Słowo to zadźwięczało w jej uszach raczej dziwnie i obco. Poczła się nieswojo. Czy Marc ją kocha? Nigdy jej tego nie wyznał, lecz nie robiła z tego problemu, bo wiedziała, jak jest powściągliwy w okazywaniu uczuć. Ale teraz uświadomiła sobie, że takie wyjaśnienie wcale jej nie zadowala.

- A czy prawdziwy dżentelmen nie powinien zachować milczenia na temat cudzej przeszłości, jeśli wie, że może to zniweczyć czyjeś nadzieje na przyszłość?

Była zaniepokojona, że Ryan wyciągnął sprawę miłości, nad którą ona się w ogóle nie zastanawiała. I nawet teraz, gdy po raz pierwszy zapytała

siebie, czy kocha Marca, uznała, że to pytanie nie ma sensu, bo skoro chce go poślubić, to musi go kochać. Ale ziarno wątpliwości zostało posiane.

- Przecież dołożyłaś wszelkich starań, by pokazać mi, że w twoich oczach nie jestem dżentelmenem, ale źle urodzonym prostakiem. I nie pozwolę ci tak łatwo wymknąć się z pułapki. Jeśli nie chcesz wyznać Dentonowi prawdy, jest tylko jeden sposób, by nie dowiedział się o twojej przeszłości. Musisz robić to, co ci każe. Albo on jest twoim wspólnikiem, albo ja. Nie ma innego wyjścia, Anno-Luizo.

„Albo on jest twoim wspólnikiem, albo ja”.

Słowa Ryana wciąż prześladowały Annę po wyjściu z jego pracowni i im dłużej o nim myślała, tym bardziej brzmiały dla niej złowieszczo. Mogły przecież znaczyć, że postawione jej przez Cassidy'ego ultimatum nie ograniczało się tylko do czasu namalowania portretu, ale dotyczyło całego życia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Już kończę.

Anna podpisała ostatni list i dołożyła do innych, które piętrzyły się na biurku. Uśmiechnęła się do Marca.

- Gotowe. Idziemy na lunch. Psiakrew! - wyrwało się jej na dźwięk telefonu. - Słucham, Alice? - powiedziała zrezygnowana do sekretarki.

- Pani Miller, przyszedł pan Cassidy.

Cassidy! Co tu robi Ryan? Dziękowała niebiosom, że na jej twarzy nie było widać zdenerwowania, gdy zwróciła się z przepaszającym spojrzeniem do Marca.

- Pewnie chodzi o portret...

- Ani trochę - zaprzeczył wchodzący właśnie do jej gabinetu Ryan, zupełnie nie przejmując się tym, że nie został jeszcze poproszony. - Po prostu byłem ciekaw, jak wygląda miejsce, gdzie pracujesz... mózg twojego imperium kosmetyki naturalnej.

Anna wzdygnęła się, słysząc kpiący ton jego głosu i natarła na niego z ostrą wymówką.

- Alice nie pytała mnie, czy ma cię tu wprowadzić!

- Masz rację - odpowiedział obojętnie, co tylko wzmoгло jej złość. - Ale wiem, że chciałaś mnie zobaczyć i nie powinnaś robić ceregieli z powodu mojej nie zapowiedzianej wizyty. Dzień dobry, Denton - zwrócił się niedbale i nie w porę do Marca, najwyraźniej chcąc go obrazić.

- Jestem zajęta - odpowiedziała nieprzyjaźnie. Była zakłopotana jego stwierdzeniem, że chciała go zobaczyć. Co będzie, jeśli z tego powodu Marc uzna, że łączy ją z Ryanem coś więcej niż tylko praca nad portretem? Pomyślała, że chyba właśnie to chciał zasugerować Marcowi.

Powinna była przewidzieć, że prosty szantaż mu nie wystarczy. Jeśli zechce, może zniszczyć jej związek z Markiem i oczywiście będzie się cieszył z jej cierpienia.

- Właśnie wychodzimy na lunch...

- W takim razie...

- Mogę odzłować tych kilka minut, Anno - przerwał mu pośpiesznie Marc, przekonany, podobnie jak Anna, że Ryan chce iść z nimi do restauracji.

- Z pewnością możesz - mruknął Ryan pod nosem, a z tonu jego głosu Anna wywnioskowała, że doskonale wiedział, co oboje mieli na myśli.

- Może pan usiądzie, panie Cassidy? Oczywiście wcale nie miała ochoty poprosić go, by usiadł, ale grzeczność tego wymagała. Poza tym pomyślała, że jeśli jego twarz znajdzie się na wysokości jej twarzy, to może Ryan nie będzie wywierał tak zgubnego wpływu na jej skołatane nerwy.

- Sądzę, że zgodzimy się co do tego, że jestem po prostu Ryanem - odparował i swym spojrzeniem ostrzegł ją przed próbą zbojkotowania jego słów oraz bardziej przyjacielskich stosunków, jakie kryły się za nimi.

Wcale nie o to mi chodziło, pomyślała Anna, gdy zobaczyła, w jaki sposób usiadł na krześle naprzeciw jej biurka. Całkowicie odprężony, z nogami wysuniętymi do przodu i z głową spoczywającą swobodnie na oparciu krzesła nie wyglądał na kogoś, kto chce zabawić tu kilka minut. I myliła się całkowicie sądząc, że Ryan siedzący na krześle nie będzie jej tak przerażał i tak nad nią dominował, jak Ryan chodzący po gabinecie. Nie miała oczywiście pojęcia, w jaki sposób ją zaatakuje. Nie była nawet pewna, czy on nie powie nic Marcowi, mimo że płaciła cenę za jego milczenie. Gorzkie doświadczenie nauczyło ją, że na Ryanie Cassidym nie można polegać, a to znaczyło, że jeśli teraz znajdowali się w jednym pokoju z Markiem, ona ani przez chwilę nie mogła poczuć się odprężona.

Ta świadomość odebrała jej ochotę powiedzenia czegokolwiek, ale, na szczęście, Marc przerwał ciszę, bo najwidoczniej uznał, że dobre wychowanie wymagało, by odezwać się do nieproszonego gościa.

- Jak ci się podobają Sekrety Natury?

- Robią wrażenie. To o wiele większa firma, niż myślałem, ale wciąż staracie się utrzymać w niej intymną, przyjacielską atmosferę, taką jak w małych firmach. Również sklepy są ciekawie urządzone, a opakowania kosmetyków bardzo eleganckie. Widać, że kobiety chcą mieć na swoich toaletkach te piękne flakony i puszki, że sprawia im przyjemność nie tylko sama ich zawartość.

Anna bała się spojrzeć na Marca. Jakaś instynktowna chęć splątania mu figła musiała nasunąć Ryanowi taki komentarz, bo mógł on tylko urazić Marca, podobnie jak, chcąc nie chcąc, dotykały go jej uwagi, gdy rozmawiali o wspólnie prowadzonym biznesie. Zawsze otwarcie oponował przeciwko pełnym prostoty, niemal surowym kształtom opakowań kosmetyków, broniąc bardziej ozdobnych, kwiecistych wzorów, które były bliższe jego wyobrażeniu kobiecości. Ale bała się również spojrzeć na Ryana. Zaczęła nerwowo przerzucać listy na biurku, by uniknąć udziału w rozmowie. Ryan zauważył to i zaczął pilnie ją obserwować.

- Jesteś kundlem z Yorkshire, czy nie tak? - zapytał Marc obraźliwie. - Pochodzisz z Leeds lub czegoś w tym rodzaju...

- Z Forgeley - poinformował go lakonicznie Ryan, celowo wymawiając nazwę miasta z melodyjnym, północnym akcentem, od czego Annie przeszły ciarki po plecach.

Ten „kundel” i protekcyjny ton, jakim Marc wymówił obraźliwe określenie, dotknął ją do żywego. Kurczowo zacisnęła dłoń na papierach. Jej ojciec też protekcyjnie nazywał mieszkańców Forgeley kundlami, co wprawiało ją zawsze w zażenowanie, nawet gdy była dzieckiem. Nigdy nie dzieliła z Edwardem Millerem nienawiści do północy kraju, tylko Empire Street budziła w niej taki wstręt.

- Życie tutaj z pewnością oznacza dla ciebie całkowitą zmianę, przeciwieństwo życia z przeszłości.

- Zawsze masz rację - powiedział Ryan, wyciągając się jeszcze bardziej na krześle. - Przyjechałem do wielkiego miasta, by spotkać swój szczęśliwy los.

- Przecież robisz postępy! - zaprotestował Marc. - Już nie musisz się o to starać! Z tego, co wiem, radzisz sobie bardzo dobrze.

- Nie najgorzej. Krytykom chyba podoba się moja sztuka.

- Na twoich obrazach ludzie przynajmniej wyglądają jak prawdziwi, nie tak jak u tego faceta, który też przybył tu z północy. Jak on się nazywa? Lowry? Od tych durnych, niewydarzonych postaci, które dziecko namalowałoby lepiej. I od tych makabrycznych fabryk.

- Na północy jest tego dużo.

- Tak, ale to nie znaczy, że obrazy tych ludzi i fabryk muszą wisieć w moim domu, choć pewnie mogą u mieszkańców Yorkshire - ciągnął Marc i zupełnie nie zauważył narastającej w głosie Ryana złości, zbyt pochłonięty wypowiedaniem własnej opinii.

- W swoim domu chcę mieć piękno, nie brzydotę.

- A więc nie obchodzi cię prawdziwy obraz życia. - zripostował Ryan i obrzucił Annę pogardliwym spojrzeniem, jakby potępiając Marca potępiał również ją.

- Nooo... nie, ale nie muszę z nim żyć! Ty także nie możesz chcieć takiej brzydoty albo nie wyplątałeś się jeszcze z tego wszystkiego, w czym tkwiłeś przedtem. Z pewnością w Londynie tak utalentowany artysta jak ty może zrobić o wiele więcej ciekawych rzeczy, zamiast marnować czas w Yorkshire.

Ryan nie pofatygował się, by odpowiedzieć Marcowi na tę uwagę, ale Anna nie oczekiwała, że ktoś, kto namalował serię portretów włóczęgów na ulicach Manchesteru, uzna opinię Marca za godną odpowiedzi. Była

wdzięczna losowi, że jej wspólnik wykorzystał tę chwilę ciszy, by spojrzeć na zegarek i nie spostrzegł błysków gniewu w pociemniałych oczach Ryana. Pomyślała, że wbrew jego eleganckiemu wyglądowi i wielkowiejskiemu obyciu, tkwiło w nim coś dzikiego, czego nie dało się oswoić, co wyglądało groźnie i obco w wytworknym gabinecie. W przeciwieństwie do Marca był jak niepokonana pantera. Marc przypominał jej rozpieszczonego kota, kołtuńskiego, a także bardzo z siebie zadowolonego.

- A poza tym możesz żądać za swoje obrazy tyle, ile ci się spodoba - dodał Marc, podejmując swój ulubiony temat pieniędzy.

- Utrzymuję się ze swojej pracy - odpowiedział Ryan, wyraźnie pomniejszając sprawę pieniędzy.

- Jak wynika z relacji w prasie, zarabiasz o wiele więcej, niż potrzeba na utrzymanie.

- Nie wierz we wszystko, co piszą w prasie. Niektórzy dziennikarze przesadzają, by zwiększyć popularność gazet.

- Ale naprawdę odrzuciłeś wielkie pieniądze, jakie mogłeś dostać za namalowanie Pameli Curtiss?

- To stare dzieje - uciął Ryan.

- Dlaczego? Dlaczego nie chciałeś jej namalować? Przecież to piękna kobieta.

- Rzeczywiście, urodziwe dziewczę, ale nie byłem tym zainteresowany. - Oznajmił stanowczo.

Annę uderzyła jego powściągliwość, bo przecież jej wyjaśnił uczciwie decyzję odmowy namalowania Pameli. Ale Marc nigdy by tego nie zrozumiał i nie uszanował, pomyślała, i słowa jej wspólnika potwierdziły, że miała rację.

- Każdy byłby zainteresowany, bo mąż Pameli ofiarował ci za ten portret bająską sumę.



- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Zajęłoby ci to zaledwie kilka godzin...

Anna już nie mogła się skupić na słuchaniu argumentów Marca. Uwagę jej przyciągał coraz bardziej głos Ryana. Prawie niezauważalny u niego melodyjny akcent irlandzki zastąpił teraz bardziej prostackim wydłużaniem samogłosek i wtrącał wyrażenia gwarowe. Zaczął tak mówić od chwili, kiedy Marc nazwał go protekcyjnie kundlem z Yorkshire. Z pewnością poczuł się tym dotknięty i zaczął bawić się Markiem, grając rolę kundla, za którego brał go tamten. Ogarnęła ją złość na Ryana, że taki prostak jak on śmie kpić sobie z Marca. Jednak nie potrafiła zagłuszyć swojego rozbawienia tym, że Cassidy wodził go za nos. Była poirytowana, że Marc naiwnie brał grę Ryana za dobrą monetę. Postanowiła wmieszać się do ich rozmowy i wychylając się z impetem zza biurka zwróciła się do Ryana.

- Panie Cassidy, mówił pan dużo o Yorkshire, ale czy pańskie nazwisko nie jest raczej irlandzkie?

Popatrzył na nią nieustępliwie, lecz na jego twarzy zagościł widoczny tylko dla niej uśmiech. Natychmiast zorientował się, że zadała to pytanie, by przerwać jego grę z Dantonem. Mimo woli odwzajemniła uśmiech, wyrażając w ten sposób akceptację dla jego gry. Złość na Ryana niemal jej przeszła, choć wcale tego nie pragnęła.

- Ma pani rację. Oboje moi rodzice są Irlandczykami, a ja urodziłem się w hrabstwie Monaghan. Przenieśliśmy się do Anglii, gdy miałem sześć lat.

- Zatem nic w tym dziwnego, że mówi pan z irlandzkim akcentem - skomentowała Anna.

- Panno Miller, akcent to coś bardzo dziwnego - usłyszała w odpowiedzi wspaniałą angielszczyznę.

Czy był lepszy sposób, by pokazać Marcowi, że manipulował nim, pomyślała Anna, widząc, jak gwałtownie zmienia się wyraz twarzy jej

wspólnika. Spłoszył ze złości, gdy zbyt późno uświadomił sobie, że Ryan po prostu zakpił sobie z niego.

- To czy bierze pani akcent pod uwagę, czy też nie, zależy od tego, co pani chce, by pomyśleli o niej ludzie, jeśli oczywiście są na tyle nierozsądni, by na podstawie sposobu mówienia oceniać kogoś - zwrócił się do niej, ale adresował swoją wypowiedź do Marca.

- Akcent to sprawa zbyt powierzchowna. Weźmy na przykład panią...

- Nie mam akcentu kogoś, kto pochodzi z Yorkshire! - zaprotestowała. Poprawna angielszczyzna była jedyną rzeczą, do której jej ojciec rzeczywiście przywiązywał wagę i Anna zawsze starała się mówić poprawnie.

- Ma pani prawo tak myśleć, ale każdy, kto zna północ Anglii, odkryje w pani głosie ślady tamtejszej wymowy i większość ludzi będzie dokładnie wiedziała, skąd pani pochodzi.

Zimny błysk w jego oczach stanowił dla Anny ostrzeżenie, by nie podejmowała już wobec niego żadnych nierozważnych prowokacji. Na myśl, że nie ma pojęcia, jak długo zamierza dręczyć ją w ten sposób, serce podeszło jej do gardła.

- Oczywiście Anna pochodzi z zupełnie innego niż ty rejonu północy - wtrącił Marc, wciąż urażony, że Ryan tak wywiódł go w pole. - Nie mam wątpliwości co do tego, że Forgeley to ohydne miasto...

- Przecież nigdy tam nie byłeś - odparł Ryan tonem, który świadczył, że spodziewał się po Marcu takiego właśnie zachowania. - To wspaniałe miasto, z wyjątkiem dzielnicy Churtown, w której my... - rozmyślnie zrobił pauzę i popatrzył krzywo na Annę - ja i moi bracia, wyrosliśmy. Churtown to rzeczywiście nieszczęsne miejsce, ale tam był mój dom. Urodziłem się w Irlandii, lecz pochodzę z Yorkshire, chociażby dlatego, że tam się wychowałem. Z pewnością tam są moje korzenie.

Anna odetchnęła z ulgą. Kolejne niebezpieczeństwo minęło. Ryan wciąż nie uchylił rąbka tajemnicy na temat jej przeszłości. Było jasne, że

sprawia mu przyjemność dręczenie jej w taki sposób. Wciąż bawił się z nią w kotka i myszkę. Jak bardzo chciała dać mu teraz do zrozumienia, że wychodzą z Markiem do restauracji. Obawiała się jednak, że Ryan zaproponuje im swoje towarzystwo i nie miała zamiaru ryzykować jego nieobliczalnej reakcji na jej lub Marca odmowę. W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu i Alice oznajmiła, że ktoś chce rozmawiać z panem Dentonem.

- Odbiorę w sekretariacie - powiedział pośpiesznie i demonstracyjnie opuścił gabinet Anny.

Ryan popatrzył na jego twarz, na której malowała się nie ukrywana odraza i wymamrotał z drwiną:

- Anno-Luizo, twoje obecne towarzystwo robi wrażenie.

Gładko przełknęła irytację spowodowaną zachowaniem Marca, bo wiedziała, jak kłopotliwa jest jej sytuacja. Zdawała sobie przecież sprawę, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć Marcowi, dlaczego jest tak zdenerwowana, tak nieopanowana, gdy pozostawia się ją samą w towarzystwie Ryana Cassidy'ego.

- Marc jest bardzo uprzejmym mężczyzną - powiedziała sztywno, ale czuła, że każdy jej nerw jest pobudzony. Zbyt dobrze wiedziała, że smukłe i sprężyste ciało Ryana rzuca na nią zmysłowy czar, podobnie jak niezwykle połączenie chabrowych oczu i kruczoczarnych włosów.

- Uprzejmym! - powtórzył za nią z niesmakiem. - Czy to cały twój entuzjazm, jaki jesteś zdolna z siebie wykrzesać, gdy chodzi o Marca? Myślałem, że zamierzasz poślubić tego mężczyznę! Powiedz mi, czy ty też jesteś dla niego uprzejma?

Oczywiście, pojęła w lot, co miał na myśli, gdy z takim rozmysłem akcentował określenie uprzejmy. Natarła na niego z furią.

- To nie twoja sprawa!

- To tylko zależy ode mnie - powiedział ostrzegawczym tonem. - I muszę ci wyznać, że absolutnie nie rozumiem, co ty w nim widzisz. Powiedz mi, co jest pociągającego w tym drętym bubku, w tej maszynie do robienia pieniędzy, w człowieku, który jest całkowicie ślepy na rzeczywistość?

- Wcale się po tobie nie spodziewam, że to zrozumiesz! I wierz mi, Marc ma o wiele więcej uroku niż...

Głos jej się załamał na widok wściekłości na jego twarzy.

- Niż ktoś taki jak ja? Ktoś, kto nie jest dżentelmenem, ale źle urodzonym prostakiem? - zapytał z przekąsem. - Powiedz mi, Anno-Luizo, czy ślepotą Dentona na rzeczywistość, jego odmowa widzenia prawdy, akceptacji świata, który jest poza zasięgiem jego tępego życia, dotyczy też ciebie?

- Nie wiem, o czym mówisz!

- Doskonale wiesz - ciągnął Ryan jedwabistym tonem. - Gdybyś nie wiedziała, czy grałabyś swoją rolę z takim samozaparciem, czy usiłowałaś być kimś innym, niż jesteś? Czy ten żałosny bogacz, Denton, w ogóle nie zauważa, że zanim go spotkałaś, miałaś już za sobą kawałek życia? Kim właściwie jesteś dla niego? Przyszłą żoną, kobietą z krwi i kości, czy jednym z tych ładnych obrazków, którymi lubi przyozdabiać ściany swojego domu?

- Nie wolno ci tak mówić! - wycodziła przez zaciśnięte zęby, choć chciała wykrzyknąć mu prosto w twarz swoją odpowiedź, ale Marc i jej sekretarka byli tuż obok, w sąsiednim pokoju. - A teraz, jeśli pan pozwoli, podziękuję panu za towarzystwo, bo właśnie wychodzimy z Markiem na lunch. Do widzenia panu, panie Cassidy.

Nie oczekiwała, że Ryan podda się tak łatwo, i była naprawdę zaskoczona, gdy wstał i bez słowa ruszył w stronę drzwi. Jednak w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił.

-Nareszcie doszedłem do tego, co ty widzisz w swoim wspólniku - powiedział z ironią. - A jednak jest to w każdym calu twój ojciec.

- A jeśli nawet, to co? O nikim nie myślę w taki sposób, ale chciałabym, by każdy był taki jak on.

Ostatnie słowa Ryana, które tak zbyła, nie dawały jej spokoju od chwili, gdy usłyszała, co Marc sądzi o tym, że Gerald i Tiffany właśnie się pobierają.

- Czy mogę uważać, że zaproszenie na ich ślub, które dostałam, dotyczy nas dwojga? - spytała go, gdy już siedzieli w restauracji.

- Niedoczekanie twoje! - odmówił jej z taką miną, jakby chciała odciąć mu prawą rękę. - Chcę być jak najdalej od tej klęski.

- Ależ on jest twoim przyjacielem...

- Był - uciął kategorycznie. - Jeśli jest takim głupcem, by żenić się z Tiffany, to znaczy, że brałem go za kogoś zupełnie innego.

Zmienił temat, ale Anna była rozkojarzona. Patrząc teraz na jego gładką, niezmaconą twarz, nie mogła się nadziwić, że dosłownie przed chwilą malowało się na niej takie wzburzenie. To, że nazwał Geralda głupcem, uczepiło się jej myśli i nie dawało spokoju. Przypomniała sobie też jego wściekłość, gdy zorientował się, że Ryan kpi sobie z niego. Teraz była już pewna, że jeśli kiedykolwiek Marc dowie się o jej przeszłości, nie daruje jej nigdy, że go okłamała. Dla niego liczyło się tylko to, by nie wyjść na głupca w oczach swoich przyjaciół, by nie została zadraśnięta jego ambicja. Dlatego nie potrafił wybaczać.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Czy mogę popatrzeć na portret?

- Nie - Ryan był nieugięty. - Zobaczysz go dopiero wtedy, gdy będzie gotowy. Przecież już ci mówiłem.

Wykonał jeszcze kilka pociągnięć pędzlem i zwrócił swoje chabrowe oczy na Annę.

- Może powinniśmy przerwać? Nie chcę, byś była zmęczona.

- Nie. Nie musimy. Czuję się znakomicie.

Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że tak mu odpowie, ale ku własnemu zaskoczeniu Anna od jakiegoś czasu czuła się z Ryanem wspaniale. Jako artysta przy pracy był kimś zupełnie innym niż groźne monstrum, które rzucało cień na jej życie i zagrażało marzeniom. Był zawodowcem najwyższej klasy, który wie dokładnie, czego chce, i zawsze troszczył się o dobry nastrój osoby, którą malował. Wbrew temu, co mówił, że gdy maluje, traci poczucie czasu, nigdy nie przetrzymał jej tak długo, by poczuła się znużona lub zmęczona. Pozowała mu już przez kilka dobrych tygodni i świetnie wiedziała, jak bardzo pochłania go ta praca, ale zawsze był wrażliwy na jej potrzeby.

- Mimo wszystko na dziś koniec, bo za chwilę nie będzie już dobrego światła - odparł Ryan i patrząc na rezultaty swojej pracy dodał: - Idzie całkiem dobrze. Jeszcze kilka spotkań i portret będzie gotowy.

W jego głosie było coś, co w uszach Anny zabrzmiało niemal jak ulga. Drgnęło jej serce. Czy ulga nie była czymś, co powinna teraz czuć na myśl, że za kilka dni, najdalej za tydzień, już nie będzie musiała tu przychodzić i powróci do swojego normalnego życia? Ale ku jej zdumieniu wcale nie czuła ulgi i pomyślała, że właściwie nie wie, co naprawdę czuje. Wbrew wcześniejszym obawom, spotkania z Ryanem wcale nie były dla niej przykre. A po jego nieoczekiwanej wizycie w jej

firmie już nigdy więcej nie powiedział nic na temat ich wspólnej przeszłości. Był miły i w niewymuszony sposób przyjacielski. Większość czasu upływała im w milczeniu, jednak gdy Anna nie pozowała, dużo ze sobą rozmawiali. Poruszyli prawie każdy temat i teraz przypominała sobie, jak bardzo była przejęta tym, że mają ze sobą tyle wspólnego. I wcale nie chodziło tylko o to, że podobały im się te same filmy czy ta sama muzyka. Gdyby nie strach, że Ryan powie Marcowi prawdę o jej przeszłości, właściwie cieszyłyby się z tych spotkań, bo niemal go już polubiła. Miał bystry umysł i przestrzegał zasad, a wiele z nich ona też wyznawała. Był tolerancyjny wobec cudzych zwyczajów i przekonań. Gdyby nie znała go wcześniej, mogłaby powiedzieć, że Ryan Cassidy był kimś, w kim chciałyby widzieć swojego przyjaciela.

Przeszłość kładła się jednak cieniem na każdej spędzonej z nim chwili. Wiedziała przecież, że Ryan potrafi być brutalny i dlatego nigdy nie mogła poczuć się w pełni odprężona w jego towarzystwie. Wciąż się go obawiała i nie dowierzała mu.

Wstała z krzesła i podeszła do Redforda, który wygrzewał się w promieniach letniego słońca, wyciągnięty na podłodze. Przyklękła i zaczęła go głąskać, pochylając się nad nim w taki sposób, by włosy mogły zasłonić jej twarz i ukryć malujące się na niej sprzeczne uczucia.

- Spotkałem dziś Natalie - głos Ryana wdarł się w jej niewesołe myśli. - Wyglądała cudownie i naprawdę jest szczęśliwa. Twoja praca przynosi zdumiewające efekty.

- Tuszowanie wad urody jest bardzo ważne. Przywracanie ludzkiemu ciału piękna nie polega tylko na jego zdobieniu. Zależało mi, by nauczyć się sztuki kamuflażu - odpowiedziała, ale wciąż myślała o nim samym, o tych pozytywnych cechach Ryana, które właśnie w nim odkrywała.

Przed dwoma tygodniami była z nim w centrum dla młodzieży. Zaproszona ponownie, już nie odmówiła. Przekonała się tam, że dzieci, którym Ryan pomagał w nauce rysunku i malarstwa uwielbiały go. Obserwowała go podczas pracy z nimi i z łatwością zorientowała się,

dlatego tak jest. Był nie tylko wspaniałym pedagogiem, który umie pokazać różne artystyczne techniki z absolutną jasnością, lecz potrafił także zarażać swoim zachwytem na widok wyłaniających się z farb konkretnych przedmiotów. Krążył wśród dzieci dodając odwagi, radząc i chwając, a dla każdego miał przyjazne słowo. Z rozlegających się co chwila wybuchów śmiechu jasno wynikało, że dzieci nie tylko się uczyły, ale bardzo przyjemnie spędzały czas.

Wtedy zwróciła jej uwagę trzynastoletnia dziewczynka, która sprawiała wrażenie nieśmiałej. Pozostawała na uboczu grupy. Była szczupła, wysoka, miała czarne włosy i figurę w rodzaju tych, których zawsze poszukują najlepsze agencje zatrudniające modelki. Jednak subtelne piękno jej twarzy szpeciło znamię, ciemna szrama, która biegła od lewego policzka do podbródka.

- Co to za dziewczynka? - spytała Ryana, kiedy skończyła się lekcja i dzieci pakowały swoje rzeczy.

- Natalie, jedna z moich ulubienic. Czy nie jest piękna?

Anna była uszczęśliwiona, że nie zwracał uwagi na paskudne znamię na policzku Natalie. Oczywiście, nie zaskoczył jej takim podejściem po tym, co mówił o portretach Mony, ale spytała o samopoczucie Natalie i reakcje dzieci na jej znamię.

- Musiałem przywołać do porządku jedno lub dwoje, bo, jak wiesz, dzieci potrafią być okrutne. Myślałem, że Natalie przestanie przychodzić na zajęcia, choć utuliłem ją w żalu.

- Ja... Ja mogłabym jej pomóc.

Na myśl o Natalie wypłakującej się na ramieniu Ryana poczuła skurcz serca. Zdawało się jej, że to była ona sama podczas pamiętnej nocy przy Empire Street, kiedy, jak sądziła, był z nią, by utulić ją w żalu po śmierci Larry'ego, a okazało się, że to nieprawda.

- Problem polega na tym, czy Natalie pozwoli sobie pomóc - ciągnęła. - Chodzi o mały trik, lecz nie każdy to lubi.



- Natalie żyje z tym znamieniem od urodzenia -perswadował jej łagodnie Ryan. - Ono jest jej częścią.

- Jak myślisz, czy Natalie chciałaby, bym pokazała jej, jak ukryć znamię?

- Nie zaszkodzi zapytać.

Przywołał dziewczynkę i Anna dyskretnie dowiadywała się, jak mała znosi swą inność.

- Jeśli chcesz, pokażę ci, jak je zatuszować. Teraz są takie środki, które pozwalają ukryć niemal wszystko. Musisz tylko wiedzieć, jak ich używać, bo trzeba umiejętnie dobrać odcień.

Widać było, że zaintrygowało to Natalie, ale nie przekonało jej do końca.

- Nie wiem, jak będę wyglądała.

- Chyba mogę ci w tym pomóc - odezwał się Ryan. Podeszedł ze szkicownikiem i pokazując Annie, co przed chwilą narysował, spytał ją: - Czy chodzi ci właśnie o to?

- Dokładnie o to - odpowiedziała i uśmiechnęła się z podziwem. Rysunek przedstawiał twarz Natalie bez znamienia, tak że nic nie psuło już jej niepospolitej urody.

- Ale to nie jestem ja! - zaprotestowała dziewczynka.

Ryan popatrzył jej głęboko w oczy i z całą uczciwością powiedział:

- Ja tak właśnie ciebie widzę. - Jego głos był spokojny.

W tym momencie Natalie zwróciła swoją podekscytowaną twarz ku Annie.

- Kiedy zaczynamy?

Poszło im znakomicie i Natalie, która interesowała się sztuką makijażu i była artystycznie uzdolniona, nauczyła się wkrótce sama tuszować swoje znamię.

- Dzięki tobie poczuła się kimś bardziej wartościowym - skomentował teraz Ryan historię z Natalie. - Z trudem ją poznałem... Była o wiele bardziej pewna siebie.

- Cieszę się, że mogłam jej pomóc - odparła zdawkowo.

Nie mieściło się jej w głowie, by mężczyzna, który wykazał taką troskę o Natalie, mógł ją samą traktować tak strasznie. I czasami myślała, że Ryan, jakiego znała teraz, jest oddalony o całe lata świetlne od brutalnego monstrum z przeszłości. Był niczym doktor Jekyll i mister Hyde w jednej osobie i już musiała się zmuszać do pamiętania jego groźby szantażu. W ogóle o tym nie wspominał, ale nie była tak naiwna, by myśleć, że wyparowało mu to z głowy. Dał słowo, że nie powie nic Marcowi tak długo, jak długo będzie mu pozowała, a teraz portret był na ukończeniu. Co więc stanie się, kiedy obraz będzie gotowy, może za kilka dni?

- Kiedy są urodziny Marcusa Dentona?

W pierwszej chwili pytanie nie dotarło do niej. Zmieszała się, zaskoczona, że Ryana w ogóle to interesuje.

- Zamierzałaś podarować mu ten portret - naciskał.

- Aa... Tak - odpowiedziała z wahaniem, gdyż zupełnie zapomniała, że to właśnie oznajmiła Ryanowi, by go rozwścieczyć. - Urodziny Marca są w końcu września, dwudziestego dziewiątego.

- Nie będzie problemu, to dopiero za trzy tygodnie, a ja nie potrzebuję nawet połowy tego czasu, by skończyć portret.

Coś musiało go zaskoczyć w wyrazie jej twarzy. Znieruchomiał nagle z pędzlem w dłoni, co bardzo kontrastowało ze zniecierpliwionymi gestami, jakimi dotychczas czyścił pędzle i układał farby.

- Czy wciąż zamierzasz podarować ten portret Dentonowi?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć i spuściła wzrok, nie wytrzymując siły jego spojrzenia.

- Ja... ja nie wiem.

Czy w ogóle mogłaby to zrobić? Po prostu dać Marcowi swój portret? Powiedziała tak Ryanowi, bo chciała, by poczuł się zraniony tym, że jego dzieło nic dla niej nie znaczy. Ale nigdy nie zamierzała ofiarować portretu Marcowi. Teraz była tego absolutnie pewna.

- Czy wychodzisz za mąż za Dentona? - zapytał ze spokojem, lecz ona poczuła się jak ogłuszona. - Wszyscy są przekonani, że to tylko kwestia czasu - ciągnął, pozornie nie zwracając uwagi na bezradne milczenie Anny. - Młoda, dynamiczna biznesmenka i milioner, to jest coś, o czym myśli się jako o doskonałej spółce.

Anna tak właśnie myślała. Zaledwie przed dwoma miesiącami Marc został jej formalnym wspólnikiem i miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie jej mężem. Traktowała małżeństwo z nim jako ukoronowanie marzeń i wiedziała, że jeśli tylko Marc poprosi ją o rękę, ona zgodzi się bez chwili wahania. Jednak ostatnio coś zmieniło się w jej stosunku do Marca. Mimowolnie powróciła myślami do dnia, w którym Ryan złożył jej nieoczekiwaną wizytę w firmie i do chwil spędzonych później z Markiem w restauracji. Ponownie odczuła niesmak z powodu odkrycia, jak płytki i egoistyczny jest jej wspólnik, jakim jest snobem. Nigdy nie pomogłoby komuś takiemu jak Natalie. Jej znanie wzbudziłoby w nim tylko wstręt, jak każdy inny defekt, wygląd dziewczynki po prostu nie odpowiadałby jego wymaganiom.

Dopiero teraz dotarło do niej, że uwaga Ryana o jej doskonałej spółce z Markiem była bardzo cierpka.

- Ale ty się z tym nie zgadzasz? - spytała i w końcu podniosła na niego oczy.

Ryan gwałtownie odwrócił od niej wzrok i zaczął wpatrywać się w okno, jakby nagle kształty chmur stały się godne jego najwyższego zainteresowania.

- Przecież to nie moja sprawa - odpowiedział po chwili.

Annie zrobiło się przykro, że Ryan tak zbył jej pytanie. Ale czego oczekiwała? Czy w ogóle mogła mieć nadzieję, że on jej coś doradzi, że powie, co sądzi o jej małżeństwie z Markiem? I dlaczego miałyby przejmować się tym, co myśli Ryan?

- Wciąż mi się nie oświadczył - oznajmiła. Nagle zapragnęła być z nim absolutnie szczerą.

- A gdyby to zrobił? - spytał zaskoczony jej wyznaniem.

- Myślę, że on nie jest zainteresowany małżeństwem.

Anna mówiła słabym głosem i czuła się teraz bardzo samotna. Odruchowo przytuliła do siebie Redforda, którego już od dłuższej chwili trzymała na kolanach, jakby ciepło jego ciała mogło pomóc jej pokonać przenikający ją chłód.

Ryan gwałtownie utkwiał w niej wzrok.

- Dlaczego, do diabła, nie jest? - spytał tak, jakby nie dowierzał własnym uszom.

Teraz już do reszty wyzbyła się oporów, które do czasu tej rozmowy nie pozwoliły jej być szczerą wobec Ryana.

- Jak sam powiedziałeś, Marc i ja jesteśmy współnikami i tylko to go obchodzi. Dobrze się nam razem pracuje i prowadzimy wspólne życie towarzyskie. To wszystko, czego on oczekuje ode mnie. Nie interesuje go małżeństwo i rodzina, bo jest maniakiem pracy. Tylko ona jest mu potrzebna i właściwie dla niej żyje, a ja mogę dzielić z nim tę pasję. Kiedy chce odpocząć i gdzieś wyjść, co nie zdarza się zbyt często, chętnie widzi mnie wtedy przy sobie.

Na chwilę zapadła cisza. Anna patrzyła Ryanowi głęboko w oczy i uprzytomniła sobie, że nigdy dotąd nie była tak urzeczona ich pięknem. Ich błękit wydawał się niezmacony, bez śladu zimna i dystansu, które tak często w tych oczach widziała. Czuła się tak, jakby porzucała krępujący ją dotychczas pancerz i otwierała się przed nim taka, jaką była naprawdę.

- Ale co z tobą? Co ty masz z tego? - spytał troskliwie.

- Naprawdę myślałam, że go kocham, lecz teraz wiem, że wmówiłam to sobie. Przy Marcu czułam się bezpieczna i akceptowana. Tak bardzo uosabiał świat, do którego chciałam należeć. Był niczym klucz, który pasuje do zamka chroniącego dostęp do czarodziejskiego świata. Jako jego bliska przyjaciółka, współpracowniczka, a pewnego dnia może i żona, zostałabym uznana...

Zawahała się. Uprzytomniła sobie, że mówi o swoim związku z Markiem, jakby należał już do przeszłości i że Ryan zwrócił na to uwagę.

- To jest dla ciebie takie ważne?

- Bardzo ważne! Ale nie oczekuję, że to zrozumiesz, bo... nigdy nie przywiązywałeś wagi do tego, co myślą o tobie inni ludzie...

Spostrzegła, że jego oczy pociemniały, a twarz stała się napięta. Co takiego mu powiedziałam, zastanawiała się.

- Ja nigdy nigdzie nie należałam - ciągnęła. - Nawet moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą przeprowadzki. Z hrabstwa Kent na północ kraju i z jednego domu do drugiego. Kiedy umarła moja matka, wydawało mi się, że psychicznie umarł również mój ojciec. W głębi duszy on mnie odrzucił... Przy Marcu czułam, że należę do jakiegoś świata, czego bardzo pragnęłam.

- I gdyby ci się oświadczył, wyszłabyś za niego, by móc nadal myśleć w ten sposób.

To nie było pytanie, ale stwierdzenie, które bezlitośnie obnażało jej samooszustwo, więc postanowiła wyjaśnić wszystko do końca.

- Myślałam, że dopiero wtedy uznałby mnie mój nieżyjący ojciec i naprawdę rozstałabym się ze swoją przeszłością, z Empire Street.

- Anno! - westchnął głęboko Ryan. - Co ty ze sobą robisz?

Podszedł do niej, delikatnie zdjął z jej kolan kota i wziął ją za ręce. Nie opierała się, czując jego ciepło i siłę, magiczną moc spojrzenia i sprężystość ciała.

- Nie widzisz tego? Przecież nie możesz rozstać się z Empire Street, bo jest częścią ciebie. Nie możesz wymazać z pamięci swojej przeszłości, swojego ja, tak jak wyciera się z rysunku linię, która nie pasuje. Przeszłość jest tym, co sprawia, kim się stajesz. Jest tobą, a samą siebie musisz akceptować. Jeśli uznasz całe swoje życie, ludzie nie będą robili problemu z twojej przeszłości.

- Nie rozumiesz mnie!

- Nie rozumiem? Chodź, coś ci pokażę. Pomógł jej wstać z podłogi i podszedł z nią do stojącej opodal szafki. Wyjął z szuflady grubą teczkę i wręczył ją Annie.

- Otwórz ją - poprosił.

Wybita z rytmu zachowaniem Ryana i zasępionym, prawie zrezygnowanym wyrazem jego twarzy, Anna ociągała się z otwarciem teczki.

Ryan zaczął wyjmować z niej kolorowe rysunki i rozkładał je na stole, wyraźnie chcąc, by obejrzała je jak najszybciej.

- Spójrz na ten... i na ten... i na ten...

Z zaskoczeniem oglądała rysunek za rysunkiem, pejzaże, martwe natury, portrety. Wszystkie zostały wykonane z wielką wprawą, ale były dziwnie nieudane, bo nie miały w sobie śladu zaangażowania. Nie miały w sobie nie tylko serca artysty, ale i prawdy o rzeczywistości. Były na to zbyt słodkie, zbyt czułościowe. Po prostu oszukiwały.

- Nie rozumiem...

Nie dokończyła zdania. Patrząc teraz na pełną napięcia twarz Ryana wszystko zrozumiała.

- Kto to namalował? - spytała, choć z wyrazu jego twarzy wyczytała już, że on. Ale wciąż nie mogła w to uwierzyć.

-Ja.

- Ty... To niemożliwe!

Spojrzała znowu na rysunki. Usiłowała doszukać się w nich siły i prawdy obecnych prac Ryana, uczucia, które przenikało nawet najprostsze rysunki twarzy Mony. I stwierdziła, że nie ma w nich nic oprócz powierzchownej doskonałości ich wykonania.

- Ty nie mogłeś ich namalować!

- Ale namalowałem i w tym cała rzecz. Oto...

Zniecierpliwionym gestem chwycił pastelowy portret młodej blondynki, obrzucił go krytycznym spojrzeniem i cisnął na podłogę.

- Oto, co robiłem w Hiszpanii. Produkowałem takie śliczne obrazki. Turyści byli uszczęśliwieni, bo schlebiali ich próżności, lecz nie miały głębi. Mogą się podobać, gdy zażywa się letnich wakacji i wypije przy tym trochę za dużo wina. Gdy patrzy się na nie trzeźwym okiem, są niczym kiczowate ozdóbki.

- Ale... - Anna próbowała teraz dociec, co chciał jej powiedzieć, pokazując te rysunki.

- Stwierdziłaś, że ja nie rozumiem, co przeżywa człowiek, który czuje, że nie jest akceptowany. Ale nie możesz zapomnieć tamtego wieczoru...

Ogarnęła ją panika, że Ryan ma na myśli wieczór po pogrzebie Larry'ego, lecz szybko przekonała się, że chodzi mu o coś innego.

- Byłaś wtedy u nas, kiedy ojciec spalił moje przybory malarskie. Nie potrafił zrozumieć, że prawdziwy mężczyzna może chcieć spędzić życie na malowaniu. Nie potrafił zaakceptować tak dziwnego syna, bo przynosiło mu to ujmę w oczach kumpli z pubu i z pracy. - Nagle roześmiał się cynicznie.

- Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, by zyskać jego uznanie. Piłem, kłąłem jak szewc, zawsze byłem otoczony wianuszkami dziewczyn... - Machnął ręką z desperacją i niesmakiem na wspomnienie tamtego okresu. - Ale malowałem po kryjomu.

Przypomniała sobie teraz Ryana z czasów, gdy mieszkała przy Empire Street. Miała w oczach obraz kogoś, kto wciąż pokazywał się z nowymi dziewczynami, kto był zawsze posępny i agresywny. Budził w niej wtedy strach. Lecz teraz pojęła, że pod maską wrogości kryła się jego rozpaczliwa walka o uznanie go przez ojca takim, jakim był, wraz z jego zainteresowaniami sztuką. Uświadomiła sobie, że brak akceptacji ze strony Edwarda Millera czynił ją podobnie nieszczęśliwą.

- W końcu jednak twój ojciec uznał swój błąd - odpowiedziała Ryanowi, widząc jak trudno mu o tym mówić.

- Wiesz, do czego doszło, bo byłaś przy tym, jak palił moje farby, pędzle i prace.

Anna powiedziała mu tamtego wieczoru, że czuje do niego sympatię, ale właściwie nie rozumiała niczego.

- Zrobiłem jedyną możliwą wtedy rzecz, wyjechałem. Przysięgłem sobie, że nigdy nie wrócę do Forgeley i rzeczywiście myślałem, że nareszcie będę wolny. Przyjechałem do Hiszpanii i w ciągu dnia pracowałem na farmie, a wieczorami malowałem. Do pewnego czasu byłem zadowolony, ale zaczęło do mnie docierać, że coś jest nie w porządku. Moje rysunki i obrazy stały się płytkie, jakby utraciły punkt oparcia. Uświadomiłem sobie wtedy, że jest tak, ponieważ wciąż uciekam przed Forgeley, przed północą, przed tym wszystkim, co znienawidziłem, jak mi się wydawało. A ja potrzebowałem północy, Forgeley i tego, co się



z tym wiązało, bo to były moje korzenie, źródła siły i inspiracji, wbrew temu co wcześniej myślałem. Doszedłem do wniosku, że próbowałem zniszczyć najważniejszą, najbardziej żywotną część siebie samego i wiedziałem już, że muszę wrócić.

Ale gdy wrócił, wkroczył w jej życie niczym huragan i zniszczył je, pomyślała Anna. Przypomniała sobie, że tego straszego wieczoru, kiedy był u niej, spytała go, jak traktuje go obecnie ojciec, skoro utrzymuje się z malowania. Odpowiedział jej, że ojciec pogodził się z tym, bo stracił jednego syna i nie chciał stracić drugiego. Teraz nagle dotarła do niej w pełni prawda tych słów, prawda o walce, jaką Ryan musiał stoczyć, by ojciec zaakceptował go w końcu, gorzka prawda o tym, że stary Cassidy zrobił to tylko z powodu śmierci Larry'ego, a nie dlatego, że wreszcie docenił pracę najmłodszego syna.

- Powiedziałeś, że choć w końcu ojciec pogodził się z tym, że malujesz, dla ciebie nie miało to już znaczenia...

- Ponieważ zaakceptowałem siebie. Chciałem zostać malarzem i zostałem nim, ale byłem także człowiekiem z Yorkshire. Wróciłem na północ, bo chciałem tego. Nikt nie był już w stanie narzucić mi, kim mam być i jak mam się zachowywać. Zacząłem być sobą.

Ryan Cassidy trwał przy tym nieugięcie, niczego nie udawał i był sobą bez względu na to, z kim miał do czynienia. Nie krył niczego, co go ukształtowało. To znajdowało wyraz w jego sztuce, która przemawiała siłą prawdy i szturmem podbiła świat artystyczny. Był niczym portret Mony, ukazując światu cały bagaż przeżyć, myśli i doświadczeń, jakie przyniosło mu życie. I tak samo jak zmarszczki nadały twarzy Mony nowe piękno, tak otwartość, z jaką mówił o swoim życiu, pozwoliła mu odrzucić wszelkie uprzedzenia i snobizm, z którymi się stykał. A Anna pozwoliła się schwytać w ich pułapkę, dając w ten sposób ludziom broń przeciw sobie.

- Ja nigdy nie byłam sobą - wyznała Ryanowi. Dopiero teraz odkryła tę prawdę o sobie, kiedy uważnie przyglądała się swojemu życiu. - Moja

rodzina przeprowadzała się tyle razy, że nigdzie nie mogłam się zakorzenić. A w Forgeley tak bardzo starałam się dostosować do życzeń mojego ojca... Nie mogłam spotykać się z rówieśnikami...

- A czy ty chciałaś się do nich zbliżyć? - zapytał szorstko.

- Z początku chciałam. Dopiero później wydali mi się tacy straszni.

Zachowywała się zgodnie z poleceniami ojca. Odrzucała wszystkie próby, jakie czynili mieszkańcy Empire Street, by zaprzyjaźnić się z nią. Z początku starali się rozmawiać z Anną, chcieli pomóc jej odnaleźć się tutaj, a sam Ryan należał do najbardziej uporczywych. Jednak Edward Miller powiedział jej, że najmłodszy Cassidy prawdopodobnie tylko udaje, że chodzi mu o przyjaźń i Anna traktowała go zimno. Potem już tylko bała się go. A przecież jej ojciec nie był kimś, kogo należało słuchać. Edward Miller nigdy nie wziął odpowiedzialności za swój los, zdolny tylko przeklinać go lub innych ludzi za swoje niepowodzenia. Nie próbował walczyć, ale dał się bezwolnie nieść strumieniowi życia. Mógł mieć przyjaciół na Empire Street, lecz w żaden sposób nie próbował dostosować się do jej mieszkańców i nie pozwolił na to córce. A pod koniec życia jego poglądy zostały zmaćcone przez alkoholizm, stały się ciasne i pełne uprzedzeń.

Narzucił je Annie i sprawił, że przez całą swoją młodość czuła się bardzo osamotniona.

- Gdy wyjechałam z Forgeley, bardzo się bałam, że ludzie mnie nie zaakceptują. Stałam się kimś, kogo, jak sądziłam, chcieli we mnie widzieć. A Marc rzeczywiście przypominał mi ojca. Teraz myślę, że widziałam w nim człowieka, którym chciał być ojciec. Dostrzegałam w nim także kogoś, kogo ojciec chętnie widziałby jako mojego męża. A gdyby Marc zaakceptował mnie jako swoją żonę, stałabym się nareszcie córką, jakiej pragnął Edward Miller. Jednak nigdy nie kochałam Marca. Owszem, wmówiłam sobie tę miłość, bo wydawało mi się, że właśnie tego pragnę. Oszukiwałam siebie, jego i wszystkich innych ludzi...

Z wyjątkiem Ryana, uprzytomniła sobie nagle i prawda ta oszołomiła ją. Przy nim jest zdolna być sobą.

- Ryan? - powiedziała zdławionym ze wzruszenia głosem. - Ryan, kim ja jestem?

Delikatnie dotknął jej podbródka i unióś lekko w górę. Wpatrywała się w jego oczy i czuła, jak rozpacz znika, a na jej miejsce pojawia się odrobina nadziei. Ciepło jego spojrzenia i zatroskanie problemami dziewczyny złagodziły ostre rysy twarzy Ryana. Na ten widok drgnęło jej serce. Musnął ją w policzek dłonią i zaczął mówić, a jego głos brzmiał w jej uszach jak subtelna pieszczota.

- Anno, jesteś bardzo piękna, inteligentna i uzdolniona. Potrafisz troszczyć się o innych. Było to widać, gdy postanowiłaś pomóc Natalie. Jesteś bystrą kobietą biznesu. Stworzyłaś Sekrety Natury. Ale ty, to przede wszystkim ty. Możesz być, kim zechcesz. Jeśli pragniesz pozostawić za sobą Empire Street, wspaniale. Ja powróciłem do Yorkshire, ale nigdy nie zamieszkałbym w Churtown. Ty też musisz pogodzić się z przeszłością, zanim się z nią rozstaniesz. Nie uciekaj przed nią. Zaakceptuj, a dopiero potem pozostaw za sobą. Nie musisz dźwigać jej jak brzemienia.

Poczuła się teraz tak, jakby to brzemień zostało zdjęte z jej ramion, jakby znalazła się na początku całkiem nowej drogi. I było to uczucie cudowne, które nadawało wolności zupełnie nowy sens.

- Jestem sobą! - wykrzyknęła uszczęśliwiona. - Dziękuję!

Wspięła się na palce i wycisnęła na policzku Ryana gorący pocałunek. Ale była zaskoczona, gdy pod wpływem tego pocałunku Ryan nagle wyprostował się, jakby go nie przyjmował.

- Ryan? O co chodzi? Czy przyjaciele nie mogą pocałować jeden drugiego?

- Przyjaciele? - jego głos wyrażał jakieś niezrozumiałe dla niej zmieszanie.

Objęła go i przytuliła się do niego mocno.

- Tak, przyjaciele! Czy nie jesteśmy przyjaciółmi? Tylko prawdziwy przyjaciel mógł pomóc mi dostrzec sprawy w tak jasny sposób, jak ty to zrobiłeś, i odstąpić przede mną swoje własne lęki, cierpienia i pomyłki, by pokazać mi, jak się myliłam. Tylko ktoś, kto troszczy się naprawdę, mógł chcieć to zrobić.

Teraz również Ryan objął ją.

- A więc jak przyjaciele - szepnął i schylił głowę, by pocałować Annę.

Chciała, by był to pocałunek przyjacielski, ale gdy usta Ryana dotknęły jej ust, przyjaźń rozplynęła się w doznaniu bardzo zmysłowym. Coś, czego doświadczyła już wcześniej w jego obecności, było teraz niczym eksplozja budzącego się ciała. Gdy rozchyliła wargi i poddała je pieszczotom jego warg, poczuła, jakby rozsadzała ją jakaś wewnętrzna siła. Poczuła, że ziemia kołysze się pod jej stopami, więc przytuliła się do niego mocno i chłonęła jego ciepło i siłę. Krzyczała z rozkoszy, gdy pieścił jej ciało, nie mogąc oderwać dłoni od jej piersi i bioder.

- Anno-Luizo! - wyrzucił z siebie podnieconym głosem. - Boże drogi, Anno-Luizo!

Wraz z tymi słowami wróciło gorzkie wspomnienie wieczoru, kiedy zostały wypowiedziane po raz pierwszy. Smagneły ją niczym bicz. Znieruchomiła i wyrwała się z objęć Ryana. W napięciu słuchała jego, nierównego oddechu, przygotowana na wybuch. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Anno-Luizo, czego się boisz? Mnie? - zapytał wciąż podnieconym głosem.

Delikatnym, ale stanowczym gestem objął ją i zwrócił ku sobie. Nawet nie próbowała stawiać oporu, wiedząc, że nie ma żadnych szans. Dostrzegła teraz jego przymrużone oczy i ściągnięte brwi, gdy patrzył na jej poszarzałą twarz. I nagle przepełniło ją cierpienie, bo zadawnione urazy zlały się z nowymi. Nazwała go przed chwilą przyjacielem i

pocałowała, zapominając, jak potrafi być okrutny i jak ona boi się go z powodu szantażu.

- Dlaczego cię to dziwi? Czyż nie chcesz, bym się ciebie bała? I czyż mój strach nie służy temu, byś mnie szantażował?

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Ryan pobladł. W jego oczach malowała się niepewność, tak że z trudem mogła uwierzyć, iż stoi przed nią Ryan Cassidy.

- Anno, tak mi przykro - powiedział skruszonym głosem, co jeszcze bardziej ją zdumiało. - Nie powinienem był tego robić... Nie miałem prawa. Tak mi przykro, że cię to przestraszyło.

W jej głowie plątały się niezliczone odpowiedzi na jego reakcję, lecz w końcu tylko spytała:

- Ale dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zagroziłeś mi, że jeśli nie będę pozowała ci do portretu, Marc dowie się wszystkiego...

- Bałem się, że po naszym pierwszym spotkaniu już nie przyjdiesz, a ja... - zawahał się - tak bardzo chciałem cię namalować.

- Mnie? - spytała zupełnie wytrącona z równowagi.

- Jak powiedziałem, jesteś bardzo piękną kobietą.

Ale przecież mógł namalować tyle pięknych kobiet, ile zechciał. Kobiety dużo by dały, by móc mu pozować, a wiele z nich wyglądało znacznie lepiej niż ona. Pamela Curtiss wiodła pod tym względem prym, a on wolał odrzucić fortunę, niż namalować jej portret. Uważała też, że jej twarz nie wyraża nawet w jednej czwartej tej osobowości, którą ukazywały portrety Mony.

- Może jednak nie jestem - powiedziała dobitnie. - Ale za czterdzieści lat, kto wie?

Ryan zasępił się.

- Przepraszam, Anno, że zachowałem się tak strasznie. Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć, a ja damę słowo, że możesz zapomnieć o tej żenującej groźbie... Nie powiedziałbym nigdy Marcowi, ani nikomu innemu nic na temat twojej przeszłości.

Oczywiście nie dlatego, że teraz to już nie miało znaczenia, pomyślała Anna. Jakże musiała być naiwna wierząc, że Marc ożeni się z nią. Ale już wiedziała, że gdyby nawet poprosił ją w przyszłości o rękę, odmówiłaby, bo nigdy go nie kochała.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała cicho.

Była w rozpacz na myśl, że Ryan wciąż nie wyraził skruchy z powodu wydarzeń tego dnia, w którym pochowano Larry'ego. Czy naprawdę znaczyły dla niego tak niewiele? Czy rzeczywiście sądził, że ona w ogóle nie przejęła się nimi? Miały miejsce osiem lat temu, lecz teraz sprawiały bardziej dotkliwy ból.

- Chciałbym cię zapytać, Anno, o bardzo osobistą sprawę - odezwał się Ryan niepewnym głosem. - Czy ty żyjesz z Markiem?

Spalał ją wzrokiem i wiedziała, że jeśli nie powie mu prawdy, on odkryje to natychmiast.

- Nie - wyznała szorstko. - Marc nie jest nadmiernie zmysłowy... Wkłada całą swoją energię w pracę i z tego czerpie największą satysfakcję. A poza tym nigdy mnie nie kochał... Pragnęłam tego, ale nie sądzę, by kochał kogokolwiek...

Poczuła ucisk w gardle. Wiedziała, że znaleźli się na bardzo niebezpiecznym gruncie.

- A czy przed Markiem był ktoś?

- Od czasu, gdy byłeś ty, jeśli cię dobrze rozumiem? Przepęłniała ją gorycz i czuła ból, jakby zadana jej przed laty rana zaczęła na nowo krwawić. Z gniewem wyrzuciła z siebie.

- Nie masz prawa pytać o to... ale odpowiem ci. Nie, nie było nikogo, dosłownie nikogo. Przykro mi, ale opinię, że kontakty seksualne przynoszą cudowne spełnienie i szczęście, uważam za nonsens. Dla mnie nie znaczą one nic. Moje jedyne doświadczenie aż nadto przekonało mnie o tym - rzuciła z pogardą.

Pobladł i zdawało się, że uchyla się przed ciosami, jakby słowa Anny chłostały go niczym bicz.

- Boże drogi, Anno-Luizo - powiedział drżącym głosem. - Ja nigdy... O Boże, miałem rację, gdy powiedziałem, że łączy nas piekło nie wyjaśnionych spraw.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- O jakie nie wyjaśnione sprawy chodzi?

W jej głosie wciąż było słycać nutkę złości, ale nie wyrażała ona tego, co Anna teraz czuła. Ryan był oszołomiony jej wyznaniem i wydawało się jej, że boleśnie to przeżywa. Pomyślała z nadzieją, że może wydarzenia ostatniego dnia jej pobytu przy Empire Street nie przedstawiają się w jego oczach tak, jak ona sądzi.

- Ja nie wiem... Wytłumacz mi to - powiedział ze smutkiem. - Wiem tylko, że przez osiem lat musiałem dźwigać brzemień tego, co zrobiłem tamtego wieczoru i za co nienawidziłem siebie.

Niespodziewanie odwrócił się, włożył ręce do kieszeni i stał tak przez chwilę w milczeniu, pochylony, jakby jego ramiona ugięły się pod jakimś nieznośnym ciężarem. Ale wkrótce znowu patrzył w jej pobladłą twarz.

- Dokąd wtedy wyjechałaś? Dlaczego wyjechałaś? Byłem z powrotem u ciebie za jakąś godzinę, gdy ochłonąłem i uświadomiłem sobie, jakie zrobiłem piekło. Ale ty zniknęłaś. Dom był zamknięty i pogrążony w ciemnościach...

- Wróciłeś? - spytała cicho, z trudem przyjmując do wiadomości ten niewiarygodny fakt.

- Tak, wróciłem - powiedział gwałtownie. - I z wysiłkiem powstrzymałem się, by nie rozwalić drzwi. Nie mogłem uwierzyć, że nie ma cię w domu. Myślałem, że zamknęłaś się przede mną i że ignorujesz dzwonek, bo czekałem wystarczająco długo, byś mogła otworzyć i porozmawiać ze mną.

- Dlaczego wróciłeś?



- By cię przeprosić i wytłumaczyć swoje zachowanie. - Potrząsnął gwałtownie głową. - Choć nie było żadnego wytłumaczenia, bo zachowałem się jak bestia...

Może jeszcze przed godziną zgodziłaby się z nim bez wahania, ale w krótkim czasie dowiedziała się tyle nowego o sobie i o nim, że po raz pierwszy zaczęła widzieć fakty we właściwy sposób.

- Chodzi o coś więcej - powiedziała z rozważą i na widok jego oszołomionego i niepewnego spojrzenia łzy napłynęły jej do oczu. - Ryan, już nie uciekam przed tobą - ciągnęła łagodnie. - Dlaczego nie mówisz, z czym naprawdę wróciłeś do mnie tamtej nocy?

W jego oczach pojawiły się złowieszcze błyski, zdradzające gwałtowne wzburzenie, a ona zachwiała się pod wpływem siły tego spojrzenia. Wyczytała z jego twarzy, że zamknął się przed nią i nie chce odpowiedzieć na pytanie. Poczwała ból, którego nie była zdolna udźwignąć.

- Ryan, proszę, odpowiedz mi. Dlaczego... Dlaczego...

- Dlaczego kochałem się z tobą? - przerwał jej szorstko. - Z wielu powodów, z których żadnego specjalnie nie wyróżniałem, ale jeden lub dwa sprawiły, że czułem do siebie odrazę. Byłem pijany, zły i piekielnie zazdrosny.

- Zazdrosny? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Zazdrosny o kogo?

- O Larry'ego.

- O Larry'ego? Przecież on nie żył...

- Wiem... Wiem... - zaczął niepewnie i podniósł na nią oczy. - Larry nie żył, ale byłaś ty, z sercem złamanym po jego odejściu. Chciałaś mówić tylko o nim... i wypowiadałaś tylko to imię. Zawsze mu zazdrościłem, że potrafił sprawić, by szalała za nim najpiękniejsza dziewczyna w sąsiedztwie. Tylko jego pragnęłaś i nikt inny nie miał prawa spojrzeć na ciebie.

„Najpiękniejsza dziewczyna w sąsiedztwie”, „Ryan Cassidy ma na ciebie ochotę”, „Zawsze cię pragnąłem, Anno-Luizo”. Zdania wypowiedziane przed wieloma laty, które pamiętała, ale dopiero teraz zaczynała je w pełni rozumieć.

- Na początku chciałem tylko podtrzymać cię na duchu, pocieszyć, ale gdy rzuciłaś się w moje ramiona, wszystkie dobre intencje diabli wzięli. Do tego momentu zawsze myślałem, że bardziej panuję nad sobą...

Złapał się gwałtownie za głowę i ten gest tak wymownie wyrażał jego wstręt do siebie i wstyd, że Anna była bliska krzyku, by zaprotestować. Ryan nie powinien był brać na siebie całej odpowiedzialności za to, co wydarzyło się wtedy między nimi. Nareszcie dostrzegła z całą jasnością swoje własne zachowanie i zrozumiała, że jej rozpacz wynikała z samooszustwa, którego trzymała się tak uporczywie aż do tej pory. Nie była bez winy, bo zachęcała go, odwzajemniała jego pocałunki i pieszczoty. A kiedy wydawało się, że Ryan może zapanować nad sytuacją, nakłaniała go, by nie przerywał ich gry miłosnej.

- Ryan...

Wyciągnęła do niego rękę, a on chwycił je mocno i Anna poczuła, jak jej ciało przebiega dreszcz.

- Anno, tak bardzo cię przepraszam, choć wiem, że to za mało i za późno. Nigdy nie chciałem potraktować cię w ten sposób. Ja... Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Odniosła wrażenie, że Ryan zamierzał powiedzieć jej coś innego i że w ostatniej chwili zrezygnował. Ale najbardziej obchodziło ją teraz, by przedstawić swój udział w wydarzeniach tamtej nocy, a w ten sposób zmniejszyć jego poczucie winy.

- Ryan, by się kochać konieczna jest zgoda dwóch osób. Nie zgwałciłeś mnie... Nie użyłeś siły. Pragnęłam tego samego co ty... Nasze uczucia były identyczne.

Był oszołomiony jej wyznaniem, jakby nie dowierzał własnym uszom. Zaczęła głaskać go delikatnie po policzku, by tym gestem pomóc mu rozproszyć wåtpliwoñci.

- Oboje byliñmy zagubieni, samotni i spragnieni innych ludzi. A ty cierpieañ tak bardzo, bo wñañnie straciñeñ brata...

Uwielbianego brata, powiedziała do siebie w myñłach. Wszyscy wiedzieli, że Ryan traktował Larry'ego jak bożyszczce.

- I byañeñ Nieludzko rozgoryczony, że twój ojciec akceptuje cię tylko dlatego, że stracił jednego z synów.

Odchylił głowę lekko do tyłu i patrzył na nią z niedowierzaniem. Dla Anny stało się jasne, że intuicja podszeptnęła jej słowa prawdy o tym, co wtedy czuł.

Pomyñłaña, że w czasach, gdy mieszkała w Forgeley, istniała jakañ szansa na to, by Ryan nawiązał z nią kontakt, mimo że tak go zniechęcała, wierząc, że budzi w niej tylko wstręt i pogardę. Bo dlaczego zawsze wywierał na nią znacznie silniejszy wpływ, niż jakikolwiek inny mężczyzna? Myñłaña, że kocha z całego serca Larry'ego, ale teraz doszła do przekonania, że była w nim tylko zadurzona, tak jak potrafi nastolatka. Dziewczęcy pociąg do najstarszego brata Ryana przemienił się w jej obsesję, ponieważ czuła się taka nieszczęñliwa, mieszkając przy Empire Street. Ale nie wiedziała do tej pory, co to jest miłość.

Teraz nagle odkryła, że już wie. Patrzyła na napiętą twarz Ryana i czuła, że zrobiłaby wszystko, by z tej twarzy zniknęła niepewność. Wiedziała, że go kocha i będzie kochała zawsze. Była niemal pewna, że nawet w tym dniu, w którym pochowano Larry'ego, i wcześniej, doznawała tego, co czuła teraz. Bo dlaczego odpowiedziała tamtego wieczoru na pragnienie Ryana bycia z nią? Tak namiętnie i tak spontanicznie? Dopiero później jej miłość do niego pogmatwała się, gdy w mówiała sobie, że była przeznaczona dla Larry'ego. Ale to jego młodszy i bardziej skomplikowany brat wypełniał jej myñli, kiedy Larry'ego nie było, a nie było go prawie nigdy. Dopiero później związała uczucie, które

żywiła do Ryana, ze strachem i wstrętem, bo nie rozumiała tego uczucia, tak samo jak wtedy, gdy po latach spotkali się po raz pierwszy w ogrodzie podczas balu.

- Chcę, byś wiedział, że nie obwiniam cię za to, co wydarzyło się tamtego wieczoru i także tobie nie wolno się obwiniać - powiedziała stanowczo.

Twarz Ryana rozjaśniła się i ustąpiła z niej bladość.

- Nie ma nic do wybaczenia... I nie ma potrzeby mówienia o tym kiedykolwiek.

Przepełniała ją nieodparta chęć dotknięcia ciała Ryana i jej dłonie powędrowały ku jego ramionom. A gdy poczuła pod palcami twardość jego mięśni, ogarnęła ją rozkosz.

- Proszę, nie dręcz się już więcej z tego powodu! Zdziwiło ją, że jest wciąż poważny i nie odwzajemnia jej uśmiechu.

- Jest jedna rzecz, nad którą zawsze będę bolał - zaczął wolno. - Zawsze będę niepokojony, że to... doznanie... było dla ciebie tak nieprzyjemne - przypomniał Annie jej własne słowa.

Uprzytomniła sobie, jak bardzo była nie w porządku wobec Ryana, gdy mówiła to z rozmysłem, żeby go zranić. Ale wiedziała już, że wtedy była przerażona, bo miała wciąż obsesję Larry'ego i myślała, że chce kochać się tylko z nim. Myśl ta i absolutny brak doświadczenia sprawiły, że pragnienie, które Ryan w niej rozbudził i które narastało, zostało w jednej chwili stłumione. Jej ciało zamknęło się przed nim gwałtownie, a seks przyniósł jej zamiast przyjemności ból i rozczarowanie. Jednak Anna wiedziała teraz, że namiętność wcale w niej nie wygasła, lecz jest tylko uśpiona. Przed chwilą rozbudził ją przecież tak bardzo ich pocałunek.

Musiała zrobić pierwszy krok, bo Ryan był wciąż zbyt wstrząśnięty i zbyt troszczył się o to, by nie zranić jej ponownie. Poczuła gwałtowne bicie serca i ucisk w żołądku. Nie robiła niczego takiego w całym swym

dotychczasowym życiu i nie wiedziała, czy potrafi. I jak będzie się czuła, jeśli on nie odpowie na jej pragnienie lub, co gorsza, odepchnie ją? Ale jak zachowa się, gdy Ryan odwzajemni jej namiętność?

- Spróbujmy raz jeszcze - wyszeptała ze ściśniętym gardłem.

- My...?

Ryan patrzył na nią z niedowierzaniem. Na myśl, że będzie musiała wypowiedzieć swoje pragnienie raz jeszcze, ogarnęła ją panika. Bała się, że nie potrafi tego zrobić.

- Spróbujmy raz jeszcze - powtórzyła.

Utkwił w niej wzrok, a ona czuła nieodpartą chęć, by unieść w górę dłonie i osłonić się przed siłą tego badawczego spojrzenia, które zdawało się przenikać wszystkie jej myśli i uczucia, jakby była przezroczysta. Modliła się w duchu, by nie zapytał jej, dlaczego chce z nim być, bo nie potrafiła teraz wyznać mu, że go kocha. Może zresztą nie zrobi tego nigdy. On był niezwykle uczciwy i aż nazbyt samokrytyczny wyniszczając powody, które sprawiły, że był z nią tamtego wieczoru, lecz słowem nie wspomniał, że ją kocha. Powiedział tylko, że rozpaczliwie jej pragnął, że pragnął jej zawsze. Ale czy to była miłość?

Anna wiedziała aż nadto dobrze, że oszukiwała samą siebie, gdy idzie o uczucie do Marca i, jeszcze bardziej, do Ryana. Nawet nie próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Pomyślała, że jeśli Ryan ją kocha, to sam wyzna jej miłość. Zresztą, nie potrafiła spytać go o to. Pragnęła go bez względu na wszystko i nie myślała o przyszłości. Liczyło się tylko teraz.

- Naprawdę tego chcesz? - jego głos brzmiał miękko, a w oczach płonęła namiętność.

- O tak... chcę właśnie tego!

Gdy obejmował ją, poczuła, tak samo jak przed ośmioma laty, jego nieujarzmioną siłę. Dotknął dłońmi jej talii i czułym gestem oplótł je wokół jej bioder. Zaczął wolno, może zbyt wolno, przyciągać ją do siebie.

- Anno-Luizo, będziemy to robili bardzo delikatnie - wyszeptał, całując koniuszek jej nosa, policzki i czoło. - Nie ma pośpiechu. A jeżeli w jakimś momencie... w którymkolwiek momencie... okaże się, że nie chcesz tego, wystarczy, że powiesz...

Popatrzył jej głęboko w oczy, a jego spojrzenie było teraz pełne troski i jakiejś determinacji.

- Obiecuj mi jedną rzecz, moje śliczności. Jeżeli zrobię cokolwiek, co cię zaniepokoi lub przestraszy, proszę, powiedz mi.

Magia jego dotyku zaczęła już działać. Anna czuła, jak budzą się do życia jej zmysły. Chłonęła całą sobą jego obecność i miała poczucie, że się zatracą. Z trudem odpowiedziała na jego pytanie.

- Obiecuję - wyszeptała, słysząc w odpowiedzi westchnienie ulgi.

- I jeszcze jedno - dodał - te wszystkie dziewczyny... na Empire Street... Chodziło tylko o to, by się z nimi pokazywać, by być w oczach ojca prawdziwym mężczyzną. Nie musisz się martwić...

- Nie martwię się - odparła z ufnością. Dopiero teraz zaczął ją całować, jakby uważał, że najpierw musi wszystko wyjaśnić. Bez śladu gwałtowności czy zniecierpliwienia pieścił swoimi ustami usta Anny, aż jej ciało zaczęło falować w jego ramionach, w przypiływie błogiej rozkoszy.

- W sypialni z pewnością będzie nam wygodniej - powiedział cicho, a jego usta były tak blisko jej twarzy, że czuła na policzku jego gorący oddech.

Zaniósł ją do sypialni i delikatnie ułożył na łóżku. Usiadł blisko i pochylił się nad nią, otaczając ramieniem.

- Wszystko w porządku? - zapytał troskliwie.

- Nie czujesz...

W jego głosie brzmiała nutka zwątpienia. Nawet teraz nie był pewien, czy ona naprawdę chce z nim być.

- Czuję się wspaniale - odpowiedziała z przekonaniem. - Po prostu wspaniale. Dlaczego mnie znowu nie pocałujesz?

Zaśmiał się i pocałował ją. Ale teraz jego aksamitny pocałunek i czułe pieszczoty już jej nie wystarczały.

Była tak podniecona, że czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach i już nie chciała, by się kontrolował. Trochę zniecierpliwiona przytuliła się do niego mocniej i zaplotła ramiona na jego szyi.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że Ryan potrafi być taki czuły. Dotyk jego dłoni, które wędrowały po jej ciele, pieszcząc namiętnie jej piersi i biodra, był tak delikatny jak dotyk jej jedwabnej bluzki. Niemal nie spostrzegła, kiedy Ryan zdjął ją z niej. Ciało dziewczyny zaczęło falować w doznaniu rozkoszy i coraz silniejszego pożądania. Gdy to zauważył, jego dotyk stał się mocniejszy, a ona bezwiednie krzyczała ze szczęścia. Otwierała się dla niego coraz bardziej.

- Wspaniale, moje śliczności - wyszeptał jej do ucha. - Nie musimy się śpieszyć. Przed nami cała wieczność...

- Ale Ryan...

Nie mogła uwierzyć, że potrafi tak nad sobą panować, że czekał tak długo, dając pierwszeństwo jej pragnieniu.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją przytłumionym głosem. - To jest czas dla ciebie. Będzie cudownie.

Gdy całkowicie poddała się mistrzowskim dotykom jego dłoni i ust, była pewna, że będzie cudownie. Nie mogło być inaczej, skoro jej ciało rozpałiło takie pożądanie, że czuła w sobie niemal ból. Ale gdy Ryan przyłgnął do niej całym sobą, zaczęła odczuwać w pierwszej chwili napięcie, jakby dał znać o sobie zadawniony uraz. Pod wpływem jego

czułych słów i zniewalających pocałunków rozluźniła się jednak szybko, wiedząc, że może czuć się bezpiecznie, bo nie zrobi niczego, co sprawiłoby jej cierpienie.

Gdy w końcu ich ciała połączyły się, przepełniło ją cudowne doznanie. Ulga, że nie odczuwa bólu, szybko ustąpiła miejsca głębokiemu, cielesnemu pożądaniu. Nagle wszystkie jej myśli odpłynęły, a ona poczuła się tak, jakby wyzwolona z ciała poszybowała do gwiazd.

Gdy w końcu odzyskała poczucie rzeczywistości, stwierdziła ze zdziwieniem, że jej policzki są mokre od łez. Ryan podniósł głowę i uśmiechając się popatrzył jej głęboko w oczy.

- Właśnie tak miało być - powiedział miękko. - Tak powinno być osiem lat temu.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Anna wbiegła tanecznym krokiem po schodach prowadzących do mieszkania Ryana i mocno nacisnęła dzwonek. Z niecierpliwością czekała na odgłos jego kroków. Serce jej drgnęło, gdy w końcu drzwi się otworzyły. Ostatnie pięć dni bez niego wydały się jej długie jak wieczność. I miała mu tyle do powiedzenia! Uśmiechnęła się do niego promiennie, ale nie odwzajemnił jej uśmiechu. Miał minę tak urażoną, jakby ktoś wymierzył mu siarczasty policzek. I tylko na moment jego oczy rozbłyły silniejszym uczuciem, zanim znowu twarz stała się bezlitośnie obojętna i odległa.

- Ty?! - jego głos nie mógł być bardziej odpychający.

Anna otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Co się stało i jak wszystko może się tak zmienić w ciągu pięciu dni? Gdy wychodziła stąd, Ryan nie chciał wypuścić jej z objęć. Zmusiła się do wyjścia tylko dlatego, że miała ważne spotkanie z Markiem. Musieli omówić szczegóły ich obopólnego udziału w spółce Sekrety Natury.

Została wtedy u Ryana na noc. Była nim bardzo pochłonięta. Wydawało się jej, że cały ten czas spędzili w łóżku, dając sobie nawzajem rozkosz. Ich ciała były tak bardzo spragnione miłości. A gdy już w końcu uznała, że musi iść, Ryan próbował odwieść ją od tego pocałunkami, pieszczotami, słowami.

Co się stało, że wszystko uległo zmianie? Na myśl o ich dzisiejszym spotkaniu była taka szczęśliwa. Oczekiwała, że Ryan chwyci ją w ramiona i będzie obejmował bardzo mocno, że będzie całował ją do utraty tchu. A zamiast tego stał przed nią ktoś całkowicie obcy, zimny i nieugięty. To, że kochali się kilka dni temu, nie musiało znaczyć dla niego tyle, ile znaczyło dla niej, ale nigdy nie przypuszczałyby, że on wycofa się tak nagle i całkowicie.

- Czego chcesz?

Poczuła pustkę w głowie. Podczas ich spotkania zaproponował, by przysłała właśnie w piątek na ostatnią sesję malowania portretu.

- Myślałam, że chcesz dzisiaj skończyć mój portret - odpowiedziała niemal tak samo zimno jak on.

- I skończyłem - stwierdził lakonicznie, stojąc w drzwiach, które były tylko uchylone, jakby nie zamierzał wpuścić jej do środka.

- Ry? - rozległ się na górze kobiecy głos. - A cóż, u licha, cię tam trzyma?

Teraz już wiedziała. Musiała się bardzo starać, by nie pokazać po sobie, że odkrycie to podziałało na nią jak grom z jasnego nieba.

- O, masz gościa - powiedziała cierpko. - Może innym razem...

- Nie. Zamiast wychodzić, możesz równie dobrze wejść - usłyszała słowa niezyczliwego zaproszenia.

- To jest ktoś, z kim chciałbym cię poznać.

Zbita z tropu podążała za nim po schodach i gdy weszli do salonu, zamarła na widok siedzącej na kanapie kobiety.

- To jest Maeve.

Nagle wszystko stało się zrozumiałe. Zupełnie zapomniała o Maeve, kobiecie, która nadała kotu imię Redford. Zapomniała, jak ciepło brzmiał głos Ryana, gdy wymawiał jej imię. Poczuła ucisk w żołądku i gorzki smak w ustach. To nie miało prawa zdarzyć się po raz drugi! Nie powinna być tak strasznie naiwna, by pozwolić Ryanowi Cassidy'emu wykorzystać się ponownie! Naprawdę myślała, że go obchodziła i że jeśli nawet jej nie kochał, to coś do niej czuł.

Ale jaki mężczyzna kochałby się z nią tak namiętnie, wiedząc, że za kilka dni jego pani wraca do domu? I przecież ona sama nakłoniła go, by

się z nią kochał. Zawsze go pociągała i gdy w tak szaleńczy sposób dała mu okazję, wykorzystał ją, by dostać to, czego chciał, ale nie znaczyło to dla niego nic. Nieprzytomna z bólu zmusiła się, by uściśnąć dłoń Maeve.

- Miło panią poznać. Ryan mówił mi o pani. Czy to właśnie pani nadała imię kotu? - spytała, broniąc się przed tym, co w związku z Maeve naprawdę sprawiło jej ból.

- O tak. Redford ma w sobie tyle ognia, że pewnie Ry, gdyby mu pozwolić, wymyśliłby dla biednego stworzenia imię takie, jak na przykład Imbir lub coś równie oryginalnego! - powiedziała z dobrotliwą ironią.

Maeve nie wyglądała tak, jak Anna wyobrażała sobie kobietę bliską Ryanowi. W czasie, gdy mieszkali przy Empire Street zdradzał przecież upodobanie do wysokich, szczupłych blondynek, a ta kobieta była o dobrych dziesięć centymetrów niższa od Anny. Włosy Maeve były płomiennorude, a jej niewysoka figurka pulchniutka. Figurka ta dobrze jednak współgrała z pełną ciepła twarzą i wydatnymi ustami, które sprawiały wrażenie ciągle roześmianych. Jej sposób bycia świadczył o tym, że nie przejmuje się własnym wyglądem, odstającym od modnej smukłości. Również jej sukienka świadczyła o ostentacji prezentowania własnego stylu. Ale wcale nie musiała być piękna, by zainteresować sobą Ryana. Anna spostrzegła, jak liczy się on z Maeve i ze smutkiem zauważyła, że ona patrzy na niego tak, jakby byli sobie bardzo bliscy. Odpowiedział na jej uśmiech uśmiechem pełnym ciepła.

- A mnie nie zamierzacie przedstawić? - dobiegł ją z tyłu silny, męski głos i gwałtownie się odwróciła.

- Pamiętasz mojego brata, Rory'ego? - spytał Ryan. - To Anna Miller...

Zwróciło jej uwagę, że Ryan nie powiedział Anna-Luiza. Było jasne, że już wcześniej rozmawiał z Rorym na jej temat i wyjaśnił mu, co ona teraz robi.

- Przypominam sobie.

W głosie Rory'ego było coś, co ją zaniepokoiło. Patrzył na nią zimno i wcale nie zamierzał się przywitać.

- Rory i jego żona zatrzymali się tutaj - wyjaśnił wreszcie Ryan uprzejmym, ale pełnym rezerwy tonem. - Właśnie wracają do domu z podróży poślubnej.

- Och, słyszałam, że właśnie się pobraliście. Gratuluję. Twoja żona jest teraz tu? - zwróciła się do Rory'ego.

- Z absolutną pewnością jestem! - odpowiedziała jej z chichotem szczerze rozbawiona Maeve.

- Och! - wykrzyknęła zmieszana Anna, czując, jak oblewa się rumieńcem. - Przepraszam, ale nie zdawałam sobie sprawy...

- Tylko mi nie mów, że myślałaś o mnie jako o bliskiej przyjaciółce Ryana?

Maeve śmiała się zadając jej to pytanie, ale Anna czuła się nieprzyjemnie pod badawczym spojrzeniem jej szarych oczu. Miała wrażenie, że żona Rory'ego próbuje w ten sposób dowiedzieć się czegoś o niej.

- Bardzo kocham mojego szwagra, ale poślubiłam właśnie tego łobuza.

Anna pobladła. Nagle przyszło jej do głowy, że może jej ojciec miał jednak rację, uważając Ryana Cassidy'ego za uwodziciela. Dostał już od niej to, czego chciał, i odrzucił ją jak zepsutą zabawkę.

- Anna przyszła po raz ostatni pozować do portretu. Zupełnie zapomniałem, że byliśmy na dzisiaj umówieni.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że wcale nie zamierzał jej dzisiaj malować, lecz że mówiąc to chciał jej napędzić stracha. Kusiło ją, by zażądać wyjaśnienia, ale wiedziała, że nie starczy jej odwagi. A jeżeli ich związek był dla niego tylko krótką przygodą, nie byłaby w stanie zmusić go, by przyznał się do tego w obecności brata i Maeve.

- Ale oczywiście wy jesteście zajęci...

- Wcale nie jesteśmy. Ryan, dlaczego nie zrobisz nam kawy? - przerwała jej Maeve.

Anna zaczęła podejrzewać, podobnie jak Ryan, że Maeve próbuje w ten sposób pozbyć się go choć na chwilę z pokoju.

- Nie sądzę... - zaczął, ale Maeve nie pozwoliła mu skończyć.

- Ryan, proszę o kawę - powiedziała stanowczym tonem, popychając go w kierunku drzwi. - Zajmiemy się z Rorym twoim gościem.

Anna popatrzyła na oburzoną twarz Rory'ego i przestraszyła się. Gdy tylko Ryan wyszedł, jego brat natarł na nią z furją.

- Jacy diabli cię tutaj przynieśli?! - wypalił. - Dlaczego robisz to znowu mojemu bratu?

- Znowu? Co robię? Nie rozumiem.

- Jestem pewien, że rozumiesz! Już raz pogmatwałaś mu życie i znowu to robisz. Chce wiedzieć, dlaczego? Czy to, że możesz owinąć go sobie wokół małego palca, sprawia ci jakąś perwersyjną przyjemność?

Rory chyba oszalał. Anna nie mogła sobie wyobrazić kogoś mniej na to podatnego niż Ryan.

- Nie wiem, o czym mówisz!

- Nie bądź bezczelna! Świetnie wiesz, co robisz! Osiem lat temu byłaś małą, ślepą głuptaską; zbyt młodą, ograniczoną i poddaną wpływowi ojca, by lepiej rozumieć, co się działo. W każdym razie tak myślałem, ale teraz...

- Proszę, powiedz mi, o czym mówisz?

- Uspokójcie się - odpowiedziała Maeve, próbując delikatnie zapanować nad sytuacją. - Rory, najdroższy, pozwól przynajmniej, by ona przedstawiła własną ocenę.

- Ja nawet nie wiem, o co ty mnie oskarżasz - powiedziała Anna, przerywając nieprzyjemną ciszę, która na chwilę zapadła po słowach Maeve. - Co ja takiego zrobiłam?

- Co? Wodziłaś go na pasku, udawałaś, że on cię obchodzi i jak tylko go zdobyłaś, natychmiast przepadłaś, zupełnie tak samo jak ostatnim razem...

- Jakim ostatnim razem?

Anna czuła, że nie jest w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Wiedziała, że te oskarżenia pasowały o wiele bardziej do Ryana niż do niej.

- Osiem lat temu, psiakrew! - Rory już nie potrafił panować nad swoim gniewem. - Wiedziałaś, że Ryan szaleje za tobą...

- Ryan? - była zdumiona. - Ryan nie...

- O tak, szalał. Wiedziałem o tym, Larry wiedział... Cała ta przeklęta ulica wiedziała. I na pewno wiedziałaś ty! Dałaś jasno do zrozumienia, że nie chcesz sobie mieć z nim cokolwiek wspólnego. I jaką czerpałaś z tego radość! Traktowałaś go, jakby był martwy, gdy próbował z tobą rozmawiać. Śmiałaś mu się w twarz, gdy prosił, byś się z nim umówiła. Nawet nie chciałaś usiąść w tym samym co on pokoju, dopóki nie było tam Larry'ego. I obnosiłaś się z tym swoim uwielbieniem dla Larry'ego po to tylko, by utrzyć Ryanowi nosa.

- Ja nigdy... To nie było tak...

„Widziałaś tylko to, co chciałaś widzieć”. Przyszły jej teraz do głowy słowa Ryana. Jeszcze raz wróciła myślami na Empire Street. Zobaczyła Ryana, jak próbował z nią rozmawiać, jak próbował pomóc jej odnaleźć się w nowym dla niej otoczeniu. Ale pod wpływem opinii ojca myślała, że on po prostu się jej naprzykrza i dręczy ją tak samo jak wielu innych chłopaków. Podobnie traktowała jego próby umówienia się z nią na randkę. Odrzucała je natychmiast i kategorycznie, bo bała się, że on weźmie łagodniejszy ton odmowy za zachętę.

- Ryanowi? - spytała zaskoczona.

Rory wyciągnął coś z kieszeni i cisnął w jej stronę.

- Otwórz to! - powiedział rozkazującym tonem. Zaczęła odwracać kartki zniszczonego szkicownika i ogarniało ją coraz większe zdumienie. Na każdej z nich widniał jej rysunkowy portret. Pierwszy przedstawiał ją, gdy miała trzynaście lat, a kolejne pokazywały, jak dorastała przez cały ten czas, zanim Ryan wyjechał do Hiszpanii. I wszystkie nosiły piętno jego indywidualnego stylu.

- Nie wiedziałam.

- Musiałaś wiedzieć. Jak myślisz, kto chronił cię przed zaczepkami na ulicy?

- To Larry - powiedziała niepewnie.

- Larry! - parsknął lekceważąco. - Ty naprawdę byłaś ślepa! O, raz na pewno obronił cię, ale następnego dnia wrócił do wojska. To Ry uprzedził wszystkich, że jeśli włos spadnie ci z głowy, będą mieli z nim do czynienia. Nie poświęcałaś mu ani jednego dnia, a on zawsze był do twojej dyspozycji. Matka mówiła mi, że po twoim wyjeździe w dniu pogrzebu Larry'ego, zdolny był myśleć tylko o tym, że twoje życie zostało złamane i że z uporem zaczął cię szukać.

Anna siedziała ze ściśniętym gardłem i nie mogła wydusić z siebie słowa. Sądziła, że Ryan odnalazł ją przez przypadek, ale teraz była przeświadczona, że rzeczywiście jej szukał.

- Czy wiesz, co on czuł, gdy uciekłaś z Empire Street? Matka mówiła, że zachowywał się jak szaleniec... że nigdy nie widziała kogoś tak zrozpaczonego. Strawił mnóstwo czasu na poszukiwaniu ciebie i chwycił się wszystkiego, co przyszło mu do głowy, byle tylko cię odnaleźć. Matka bolała nad tym, że Ryan przeżywa kompletne załamanie... Nie jadł, nie spał. Potrzebował bardzo dużo czasu, by wylizać się z tych ran... A ty znowu wkroczyłaś w jego życie niczym czarna wdowa... jadowita samica pająka, która pożera swojego kochanka... Kiedy już on czuje się

wspaniale i naprawdę jest schwytyany w twoją sieć, zostawiasz go i nawet nie mówisz do widzenia.

- Zostawiam go? - powtórzyła. - Ja go nie... Ja...

- Ty go kochasz - stwierdziła stanowczo Maeve. Anna niezdolna wymówić słowa skinęła tylko głową.

- Ty?! - krzyknął Rory.

- To dlaczego nie powiesz mu o tym? - łagodną zachętą Maeve ucięła pełną oburzenia uwagę męża. - Czy nie widzisz, że z twojego powodu zgryzota zżera mu serce?

Czy naprawdę? Na myśl, że Maeve może mieć rację, serce zabiło jej mocniej. Szybko jednak przypomniała sobie wyraz twarzy Ryana, gdy otworzył jej drzwi. Wyglądał jakby jej nienawidził i jakby miłość była ostatnią rzeczą, o której mógł pomyśleć. Ale jeśli, jak powiedział Rory, z jakiegoś powodu Ryan uwierzył, że ona go zostawiła...

Nagle Maeve wstała i pociągnęła za sobą męża.

- Musimy teraz wyjść z Rorem do miasta - oznajmiła i władcym gestem uciszyła jego protest. - Wszystko będzie dobrze... Powinnaś zostać i porozmawiać z Ryanem.

Zanim Anna zdążyła cokolwiek powiedzieć, już ich nie było. Targały nią sprzeczne uczucia. Bardzo się bała spotkania z Ryanem. On tu za chwilę wejdzie, a ona nie miała pojęcia, co powinna mu powiedzieć. Czy rzeczywiście ją kocha? Rory i Maeve byli o tym przekonani, ale Ryan nigdy tego nie mówił. Dlaczego .sądzi, że ona go zostawiła?

Była przerażona, gdy wszedł do pokoju.

- Gdzie są Rory i Maeve? - spytał.

- Oni... musieli wyjść.



- Do miasta? - mówiąc to popatrzył na tacę z czterema filiżankami. - Ale...

Postawił tacę na stole z taką złością, że Anna zadrżała.

- Co się tu, u diabła, dzieje?

- Nie wiem... Maeve uznała, że musimy porozmawiać - zaczęła nerwowo.

- Porozmawiać! Czy jest w ogóle o czym rozmawiać? Dostałaś to, czego chciałaś.

Wzruszył ramionami, co zraniło ją bardziej niż zawzięty gniew w jego oczach.

- Ryan, o czym ty mówisz? Co to znaczy, że ja dostałam to, czego chciałam?

- Miałaś swój odlot, swoje pożałowania godne przeżycie erotyczne, dokładnie to, czego chciałaś. A dlaczego do tego doszło? Dlatego, że za twoim przyzwoleniem Marc zaangażował się zbyt mocno w pracę, a ty musiałaś zaspokoić swój seksualny apetyt, którego on by nigdy nie zaspokoił. Ale może zrobiłaś to w odwecie? Mimo wszystko uważam, że potraktowałaś mnie jak każdego innego mężczyznę, który jest zdolny zaspokoić twoje potrzeby... Chociaż, ja jestem brutalnym prostakiem z ciemnej uliczki, pozbawionym wzniosłych uczuć...

- Nie!

Anna zerwała się na równe nogi i chwyciła go za ramiona. Zaczęła nim potrząsać z taką mocą, jakby chciała go zmusić do dostrzeżenia prawdy.

-To, co powiedziałaś, jest absolutną nieprawdą! Dzwoniłam do ciebie, ale nie było cię w domu. Czy nie dostałaś wiadomości?

- Od ciebie?

Stał przez chwilę nieruchomo i Annie zdawało się, że widzi światełko na końcu tunelu. Jeśli Gillie nie powiedziała mu, jeśli nie przekazała wiadomości... Ale w gnieniu oka jej nadzieja przysła, bo Ryan natarł na nią z furją.

- Tak, dostałem wiadomość!

Gwałtownie uwolnił się z jej uścisku i cofnął o kilka kroków.

- Powiedz Ryanowi, że załatwiam ostatnią nie załatwioną sprawę, by móc wyswobodzić się z tej pułapki - wyrecytował to, co przekazała mu Gillie.

W geście rozpaczy Anna przyłożyła dłonie do ust. W poniedziałek wszystko działo się w takim tempie, że nie była zdolna jasno myśleć. Po wielu nieudanych próbach dodzwonienia się do Ryana zadzwoniła do Gillie, bo wiedziała, że zobaczą się wieczorem w centrum. Z powodów osobistych nie chciała mu dokładnie powiedzieć, dokąd się wybiera. Dlatego umyślnie przekazała wiadomość niejasną. Dopiero teraz zrozumiała, że rzeczywiście Ryan mógł odebrać ją całkowicie mylnie.

- Ta wiadomość nie znaczyła, że wyłączam ciebie z mojego życia, że uwalniam się z pułapki, którą ty na mnie zastawiłeś, grożąc, że powiesz Marcowi o mojej przeszłości. To nieporozumienie.

- Nieporozumienie? - burknął. - Dla mnie to właśnie tak wyglądało. Dałaś mi jedną noc. Jedną noc, a potem zniknęłaś, jakbyś chciała, by było to ostatni raz.

Tamtej nocy po pogrzebie Larry'ego, gdy uciekła przed Ryanem, on szukał jej i był bliski załamania nerwowego, jak powiedział przed chwilą Rory. Czy teraz robił to samo? Czy to wyjaśnia, gdzie był przez całą noc, gdy bezskutecznie dzwoniła do niego z hotelu? Czy przemawiały przez niego złość i ból mężczyzny, który doszedł do wniosku, że po raz drugi stracił ukochaną kobietę?

- Ryan... - zaczęła niepewnie, ale nie chciał jej słuchać.

- Mam coś dla ciebie...

Z szuflady biurka wyjął małe zdjęcie i podał je Annie.

- Zachowaj je na pamiątkę.

Oczy zasnuły się jej mgiełką, a usta ułożyły w ciepły uśmiech, gdy zobaczyła na zdjęciu roześmianą twarz Larry'ego.

- W rzeczywistości wyglądał o wiele lepiej - powiedziała miękko i spostrzegła, że Ryan patrzy na nią i słucha jej. - Ale wtedy, gdy miałam piętnaście, szesnaście lat, byłam oczywiście piekielnie naiwna. W szczeniacki sposób garnęłam się do niego, co czyniło mnie ślepa na wszystkich innych.

Wciąż z uwagą jej słuchał. Czy dociera do niego, co ona usiłuje mu powiedzieć i czy pozwoli jej mówić dalej? Milczał, stał nieruchomo, ze zmarszczonym czołem. Wzięła głęboki oddech i powiedziała.

- Rory pokazał mi portrety...

Wyciągnęła dłoń w kierunku leżącego na kanapie szkicownika. Ryan spojrział i gwałtownie poblądł. Pomyślała, że Rory dobrze zrobił pokazując jej te młodzieńcze rysunki Ryana.

- Powiedział, że ty... kochałeś mnie... Ale ja z powodu mojego ojca i tej obsesji na punkcie Larry'ego nigdy tego nie dostrzegłam. I nie byłam świadoma, że postępowałam z tobą tak okrutnie.

Westchnął, jakby zrobiło mu się trochę lżej na sercu.

- Ryan, czy to prawda? Czy rzeczywiście mogłam być tak ślepa? Czy Rory ma rację? Kochałeś mnie wtedy?

- Tak - odpowiedział po chwili agresywnym tonem i spojrział na nią prowokacyjnie. - Czy to cię zadowala? Czy to, że prostak z Empire Street, z którym chwilowo się spoufaliłaś, miał czelność zakochać się w tobie, wzbogaca twoje perwersyjne upodobania?

- Och, Ryan - powiedziała łagodnie, ale on potrząsnął tylko ze zniecierpliwieniem głową.

- Skoro już wiesz... i możesz świętować swój mały triumf nade mną, idź i...

- Nigdzie nie pójde - przerwała mu ze spokojem. - Nie wyjdę stąd, dopóki ci czegoś nie powiem.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział ze złością, ale Anna nie pozwoliła mu dokończyć.

Zwróciła uwagę, że powiedział - kochałem cię, a nie - kocham. Była jednak przekonana, podobnie jak Rory, że obchodziła go również teraz. Musiała jednak ukoić jego zranioną dumę, by zechciał przyznać, że rzeczywiście tak jest.

- Chce ci powiedzieć, gdzie byłam - zaczęła. - W poniedziałek, po tym spotkaniu z Markiem, miałam telefon od pośrednika, że w Nottingham znalazł dla mnie lokal na nowy sklep z kosmetykami mojej firmy. Zdecydowałam się pojechać tam tego samego dnia po południu i wtedy przyszło mi do głowy, że skoro wybieram się na północ, to mogę pojechać trochę dalej.

Teraz miała pewność, że jej słucha, ale nie powiedział ani słowa.

- Dzwoniłam do ciebie, ale ponieważ cię nie było, przekazałam tę wiadomość Gillie. Nie chciałam ci mówić dokładnie, co postanowiłam zrobić, przynajmniej dopóty, dopóki tego nie zrobię. I uważałam, że muszę zrobić to sama.

Jej głos był podekscytowany. To, co miała mu do powiedzenia, było dla niej bardzo ważne.

- Ryan, ja pojechałam do Forgeley. Wróciłam tam po ośmiu latach i obejrzałam je dokładnie. Miałam jak na dłoni swoją przeszłość, ale to wcale nie było to, co zapamiętałam. Zapomniałam na przykład o tym olbrzymim parku, który jest blisko Empire Street, o rzece i o tej

cudownej, starej hali, gdzie mieściła się giełda wełny i gdzie tkacze sprzedawali przez cały rok wyroby wełniane. Zapomniałam, jakie to było wspaniałe miejsce, choć nigdy nie potrafiłam patrzeć na nie tak, jak należało, podobnie jak na wiele innych rzeczy. Oczywiście, widziałam też brzydotę, ale było tam dużo pięknych miejsc, na które byłam wcześniej ślepa.

Jaka była wtedy okropna dla Ryana, pomyślała ze smutkiem. Gdyby tylko wiedziała, jak on się czuł z tego powodu. Ale gdyby nawet wiedziała, to będąc pod wpływem ojca prawdopodobnie zachowywałaby się tak samo, a może gorzej.

- Bardzo mi się spodobał budynek giełdy po przebudowie, z mnóstwem sklepików. To fantastyczne miejsce dla filii Sekretów Natury, dla nowego sklepu. Marc myśli podobnie...

- Denton był z tobą? - zapytał ostro.

- Tylko wczoraj, ostatniego dnia mojego pobytu w Forgeley. Zadzwoiłam do niego, by powiedzieć mu o tej hali giełdy i przyjechał, bo chciał koniecznie zobaczyć ją na własne oczy... Przecież znasz Marca. Uważa, że nikt nie potrafi zrobić niczego tak dobrze jak on. Oprowadziłam go po Forgeley... Pokazałam mu nawet Empire Street.

Milczenie Ryana ciążyło jej jak ołów. Wyciągnęła do niego rękę, ale nie śmiała go dotknąć w obawie, że on tego nie zniesie. Gorąco pragnęła, by ją w końcu zrozumiał.

- Ryan, ja mu wszystko powiedziałam... Gdzie się wychowałam... Jak żyłam... O moim ojcu...

- I co on o tym myśli?

To nie była reakcja, jakiej oczekiwała, ale przynajmniej coś powiedział.

- Najpierw był zły, lecz to było naturalne, bo nakłamałam mu trzy lata temu. Gdy zobaczył Empire Street, był zszokowany i pełen obrzydzenia.

Widziała to na jego twarzy, gdy z przerażeniem wpatrywał się w obskurną, wąską ulicę i słyszała w tonie jego głosu, gdy powiedział: „Tu mieszkałaś?”.

- Ale czy nie widzisz, Ryan, że to nie ma żadnego znaczenia? Nie spodziewałam się ze strony Marca niczego więcej. Kiedyś bardzo bałam się jego reakcji, lecz teraz nic mnie ona nie obchodziła. Wiedziałam, że nigdy mnie nie kochał, bo inaczej nie przywiązywałby wagi do mojej przeszłości. Teraz Marc jest dla mnie tylko współnikiem i on sam godzi się na to. Ostatecznie wie doskonale, że Sekrety Natury to żyła złota. Ale ja bardzo chciałam, by poznał prawdę. Ryan, dlaczego tego nie widzisz? Nie ty, ale Empire Street była tą nie załatwioną sprawą, z którą musiałam się uporać, by wydostać się z mojej pułapki.

- Anno - odezwał się Ryan. Głos jego był spokojny. - Odpowiedz mi na jedno pytanie. Dlaczego pojechałaś do Forgeley?

- Musiałam zmierzyć się z moją przeszłością i raz na zawsze usytuować ją na właściwym miejscu... Chciałam też zobaczyć miejsce, które tyle znaczy dla ciebie... Miejsce, które prawdopodobnie będzie tak samo ważne dla mnie, jeśli... kiedy... zacznę tam żyć...

W jego zmrużonych oczach malowało się wielkie zdumienie.

- Kiedy ty... Anno, czy mówisz mi, że zamierzasz przenieść się do Forgeley?

- Mam taką nadzieję. Lecz to zależy od ciebie. Nie mogłabym tam żyć sama... ale z mężczyzną, którego kocham... To wspaniałe miejsce, by mieć tam dom.

- Z mężczyzną... - Ryan potrząsnął głową. - Co ty właściwie chcesz powiedzieć?

Anna wiedziała, że teraz nie czas na uniki, że mogła wszystko zyskać lub wszystko stracić.

- Że cię kocham i pragnę z tobą żyć... być twoją żoną, jeśli i ty tego chcesz... mieć z tobą dzieci...

Czy nie posunęła się za daleko? Oszołomione spojrzenie Ryana i jego milczenie przeraziły ją, ale po chwili jego twarz przepełniła taka radość, że zdawało się, iż blask jego oczu oślepi ją.

- Jeśli ja... Och, Anno, właśnie tego pragnąłem najbardziej na świecie!

- Rory miał rację?

- Rory miał rację - powiedział ze wzruszeniem. - Kocham cię... Myślę, że kochałem cię zawsze, od chwili gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Miałaś wtedy trzynaście lat. To był wstrząs i od tego czasu już nigdy się nie pozbierałem. Ale ilekroć próbowałem się do ciebie zbliżyć, odtrącałaś mnie.

- Tak mi przykro...

Teraz wiem, że tak nie było, lecz wtedy myślałem, że jesteś małą, snobistyczną damulką, a mimo to nie potrafiłem pozbyć się ciebie z moich myśli. I oczywiście, kiedy zakochałaś się w Larrym, nie mogłem się o ciebie bić z własnym bratem.

- Ale Larry nigdy nie czuł do mnie niczego poza uczuciem przyjaźni.

Teraz już wiedziała. Wiedziała, że Larry był dla niej przyjacielski jak starszy brat wobec ukochanej młodszej siostry. A, być może, podtrzymywał ten kontakt z nią również w trosce o Ryana, bo miał nadzieję, że ona, odwiedzając dom Cassidych podczas kolejnych urlopów Larry'ego, przekona się pewnego dnia, co naprawdę Ryan do niej czuje.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym podczas tamtej nocy?

- Jak mogłem powiedzieć ci, że cię kocham, kiedy ty wykrzyknęłaś imię mojego brata, gdy ze mną, a nie z nim, przeżywałaś swoje pierwsze uniesienia miłosne?

- Ryan, to niemożliwe!

Na myśl o tym, co wtedy zrobiła, zawirowało jej w głowie. Nieświadomie wyładowała się na Ryanie z powodu własnego bólu i zadała mu cierpienie. Myślała, że on jest brutalnym i egoistycznym rozpustnikiem, ale życie ugodziło go bardziej niż ją. Nie tylko stracił brata, lecz także dowiedział się od ojca, że jest mniej wart od Larry'ego, a ona jeszcze wzmocniła to przekonanie.

- Nie znajduję słów, by powiedzieć, jak tego żałuję!

- To minęło... Ja też cię zraniłem. Kiedy tamtego wieczoru uciekaś z Empire Street, przeklinałem się za to, że byłem tak gruboskórny. Robiłem wszystko, by cię odnaleźć, ale wyglądało na to, że zniknęłaś z powierzchni ziemi. Myślę, że w głębi duszy zawsze, tak czy owak, rozglądałbym się za tobą, lecz w końcu przestałem cię poszukiwać i właśnie wtedy zjawiłaś się w moim życiu na nowo... I znowu zaczęłaś się mnie bać!

Ryan zaśmiał się ironicznie i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nigdy nie traktowałem poważnie tego szantażu. Byłem piekielnie zazdrosny na myśl, że wychodzisz za mąż za kogoś innego, a zwłaszcza za kogoś takiego jak Denton. I byłem wściekły, ale nic już we mnie nie zostało z tego Ryana Cassidy'ego sprzed ośmiu lat. Przebyłem długą drogę. Dla wszystkich stałem się synonimem sukcesu, ale, jak mi się wydawało, ty wciąż uważałaś, że dla ciebie nie jestem dość dobry.

- To nie o to chodziło. Zamartwiałam się tym, co powiesz o mnie Markowi.

- Zorientowałem się. Ale zanim do tego doszło, tak pragnąłem mieć cię przy sobie, że postanowiłem uczepić się wszystkiego... nawet szantażu, byś przychodziła do mojego mieszkania, choćby tylko po to, by pozować do portretu. Byłem skłonny zrobić wszystko, by przekonać cię do zmiany poglądów na temat Marca Dentona, zamiast wykreślić cię z mojego życia, razem z tymi twoimi snobistycznymi uprzedzeniami. Przynajmniej mogłem w ten sposób widywać cię... Rozmawiać z tobą...



- I doprowadzić do tego, że zakochałam się w tobie.

- Nigdy nie miałem na to nadziei. To więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem. Anno, najdroższa, chodź do mnie, chcę cię uściskać.

Była uszczęśliwiona, a jej ciało przepełniało uczucie cudownej błogości. Spragniona jego ramion, pozwoliła z radością objąć się Ryanowi i niecierpliwie domagała się pocałunku.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałaś? - spytał, kiedy wreszcie ich usta rozłączyły się na chwilę. - Czy naprawdę wyjdiesz za mnie i będziemy mieszkali w Yorkshire?

- Z tobą mogę mieszkać wszędzie - zapewniła go.

- Ale co z twoją firmą... z twoją pracą...

- Pomyślałam o tym. Yorkshire, z tą halą giełdy na początek, wydaje mi się wspaniałym miejscem do działalności Sekretów Natury na północy kraju. Ja będę kierowała północną filią firmy, a w Londynie zatrudnię dyrektora. Mówiłeś, że czasami musisz bywać w Londynie, a więc będę mogła mieć oko również na tutejsze sklepy. Z łatwością pogodzimy życie tu i tam.

- Nie do wiary... To wszystko wydaje się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Anno, gdybyś wiedziała, jak ja cię kocham i jak pragnę kochać cię przez całe życie!

- Czy namalujesz mój portret, kiedy skończę sześćdziesiąt pięć lat? Taki, jaki namalowałaś Monie, ze wszystkimi śladami przemijającego życia na twarzy?

- Masz moje słowo. I tak samo jak Mona będziesz z każdym dniem coraz piękniejsza... a ja będę tego świadkiem - zapewnił ją Ryan.

Z radością wtuliła się znowu w jego ramiona i poddała pieścizom jego dłoni. Czuła, jak Ryana ogarnia namiętność i jak ona sama rozpala się coraz bardziej pod wpływem jego dotyku, lecz nagle wymamrotał pod nosem przekleństwo.

- Czy coś się stało?

- Nic nie może się stać. Pomyślałem tylko, że Maeve i Rory nie będą tkwili przez cały dzień na dworze. A ja pragnę teraz najbardziej na świecie zanieść cię do sypialni i pokazać, jak bardzo cię kocham.

- O... tak! - Uśmiechnęła się do niego, jakby nie było żadnych przeszkód, by znaleźli się natychmiast tam, gdzie oboje najbardziej pragnęli. - Wydaje mi się, że nie doceniasz swojej bratowej. Sądząc z wyrazu jej twarzy, kiedy wychodzili z Rorym, była zdecydowana pozostać w mieście przez dłuższy czas.

- Wystarczająco długo?

- Całkiem długo - powiedziała z pewnością. - O ile oczywiście nie zmarnujemy zbyt dużo czasu na gadanie.

- Nie mam zamiaru tracić ani sekundy. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.